ROK XXXVI. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO

WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1933.

TREŚC ZESZYTU.

Prenumerata roczna 10 złotych (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Opłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król, Kraków.

Drukarnia Związkowa w Krakowie, ul. Mikołajska 13.

ROK XXXVI. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1933.

Drukarnia Związkowa w Krakowie, ul. Mikołajska L. 13.

List Czcigodnego X. Wizytatora Kryski z powodu śmierci Ojca Generała.

Kraków, dnia 31 stycznia 1933.

Czcigodni Księża i Kochani Bracia!

Ł. P. n. n. z. b. z nami!

Wielką żałobą okryło się Zgromadzenie przez śmierć Drogiego nam wszystkim ś. p. Najczcigodniejszego Ojca Generała Franciszka Verdier. Dzisiaj dzień jego pogrzebu w Paryżu i dzisiaj nadeszła karta pośmiertna z podpisem Najczcigodniejszego Ojca Wikarjusza Generalnego Emila Cazot. W dzień śmierci 26 stycznia 1933 r. zawiadomił on już nas telegramem o niej, uwiadamiając jednocześnie o dniu pogrzebu 30 stycznia i o dniu konwentu generalnego 26 lipca 1933 r. Nie było nam danem wziąć udział w pogrzebie, ale telegraficznie poleciłem Czcigodnemu Księdzu Superjorowi W. Bieniaszowi, by ze swymi Księżmi zastąpił nas w tej ostatniej posłudze. A jest tam sześciu naszych Księży konfratrów.

Braknąć nie mogło tam Polski, bo ś. p. Najczcigodniejszy Ojciec Generał szczególnym był naszym przyjacielem. Pierwszy jego akt, kiedy po śmierci ś. p. Ojca Wikarjusza Generalnego Louwycka został sam Wikarjuszem Generalnym Zgromadzenia, to list do mnie pod nieobecność ś. p. X. Wizytatora Słomińskiego, w którym objawiał szczególną miłość do nas i troskę o nas w Polsce w strasznej zawierusze wojennej. Ostatni akt jego, zanim zamknął oczy na śmiertelnej pościeli, to jego list pełen miłości dla nas, w którym zatwierdza przyjęcie domu i parafji we Lwowie, przyjętej na życzenie J. E. X. Arcybiskupa Twardowskiego uchwałą Rady prowincjonalnej i prosi o nasze polskie modlitwy za siebie.

My nigdy nie zapomnimy, że to na jego usilne starania i powtarzające się prośby, równające się pełnemu miłości rozkazowi, powstały nasze placówki misyjne w Chinach, które, jak stwierdza pierwszy przewodnik naszych bohaterskich a tak nam drogich konfratrów, staną się rękojmią i zadatkiem błogosławieństwa Bożego dla nas.

Pamiętamy wszyscy ś. p. Ojca Generała z czasów pobytu u nas w Polsce, kiedy z obecnym Księdzem Superjorem domu centralnego z taką miłością odwiedzał nasze zagrody. Pamiętamy, o tej rozlewnej dobroci Jego serca, z jaką odnosił się do wszystkich Starszych i Młodszych, budząc miłość dla świętego powołania. Jak św. Wincenty, którego zawsze miał w sercu i na ustach, przeszedł pogodnie przez lata urzędowania, jako godny Jego następca. Dobroć bez granic ta niosła serca ludu do Zbawiciela, ta, która przykuwała pierwszych wiernych do św. Pawła, ta, która wiodła rzesze ubogich do św. Wincentego, ta dobroć, jako obraz nieskończonej dobroci Bożej dla biednego stworzenia, to charakterystyczny rys jego rządów w Zgromadzeniu. A jeszcze dla Polski i dla nas była to dobroć nie mniejsza. I w tej jeszcze szczególnem tętnem biło jego serce dla młodych serc w Zgromadzeniu.

Jakżebyśmy mogli zapomnieć o jego ostatniem życzeniu w liście do mnie wystosowanym u schyłku dni, byśmy się szczególnie za niego modlili. Jego piękna dusza, jestem tego pewien, może ich już nie potrzebuje, ale serca nasze nie mogą o tem jego ostatniem życzeniu zapomnieć. Te nasze modlitwy o ile jemu nie będą potrzebne, pójdą na nasz rachunek, i przez Jego Ręce popłyną za nas przed Tron Najwyższego. On tam z ś. p. Ks. Wizytatorem Słomińskim, którego tak kochał za życia, będą orędowali za nami, za jedną i drugą Rodzinę św. Wincentego. On tak zawsze w sercu i słowy jednoczył te dwie Rodziny przed obliczem Bożem.

To rok jubileuszowy i naszej konstytucji i Sióstr Miłosierdzia.

Niech nam to będzie jego testamentem, byśmy żywy brali udział w jubileuszu Sióstr i zawsze gotowi byli śpieszyć im z posługą duchową. Poszły za naszemi Braćmi do Chin w myśl Bożego wezwania ś. p. Siostry Wizytatorki Okęckiej, by nam służyć pomocą w pracy najpiękniejszej Zgromadzenia. Niech i tu, jak tam w Chinach i wszędzie gdzie pracują dzieci św. Wincentego,

będzie dla nas świętym obowiązkiem wzajemna pomoc duchowna. Stroskani bolesną stratą oddajemy się z ufnością opiece Najczcigodniejszego Ojca Wikarjusza Generalnego z hołdem pamięci o Nim i synowskiem przywiązaniem do Niego.

Znamy Go z Jego pobytu w Polsce.

Za ś. p. Najczcigodniejszego Ojca Generała po odprawieniu nabożeństwa na zarządzenie Czcigodnych Księży Superjorów domów za jego duszę, wszyscy Czcigodni Księża odprawią prócz mszy św. nakazanej dekretami, jeszcze dwie inne.

W miłości Pana naszego i Jego Niepokalanej Matki
całem sercem oddany sługa

(—) Ks. Józef Kryska
n. k. zgr. mis.

Śmierć Ojca Generała.

O. Generał umarł dnia 25 stycznia 1933 r.

W ostatnich tygodniach na pierwszy plan trosk obydwu Zgromadzeń wysunęła się choroba śmiertelna O. Generała. Od chwili, kiedy Go przywieziono ze szpitala św. Michała do Domu św. Łazarza, lekarze nie ukrywali, że należy się liczyć z ostatecznością.

We wszystkich Domach zanoszono gorące modły do Pana Boga za następcę św. Wincentego. Z polskiej ziemi i z polskich Domów naszych szły tem gorętsze prośby, że wszystkim żywo stanęły w pamięci chwile, które O. Generał w lecie 1923 roku spędzał w Polsce.

O. Generał Franciszek Verdier, urodzony 1856 r., wstąpił do Zgromadzenia w r. 1874, a Superjorem Generalnym był od 1919 r.

Wszyscy trwamy w modlitwach za Niego.

Requiescat in Pace.

W sprawie ciężkiej choroby O. Generała wysłała Jego Rada list do XX. Wizytatorów wszystkich prowincyj.

Paryż, dnia 17 grudnia 1932.

Mości Księże i Kochany Konfratrze!

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Przychodzimy z bardzo smutną wiadomością: nasz Najczcigodniejszy Ojciec otrzymał ostatnie Sakramenta dziś o godz. 1-ej po południu. Od 26 listopada, od chwili, kiedy wszedł do szpitala św. Michala dla poddania się operacji, o ile będzie możliwą, zdrowie Jego ciągle upadało. Choroba kiszek utrudniała i wprost uniemożliwiała wszelkie odżywianie.

Po zbadaniu dokładnem chirurdzy doszli do przekonania, że choroba ma swoją siedzibę w ślepej kiszce. Wobec wieku podeszłego i wobec złego stanu wątroby i serca uznali, że nieroztropną byłoby rzeczą dokonywać operacji.

Czcigodny chory wrócił do Domu Macierzystego przedwczoraj rano, przywieziony samochodem ambulansowym. Potem przybyła jeszcze inna komplikacja: uremja, która powoduje senność, zwiastuna snu ostatniego.

Jego poddanie się buduje wszystkich, którzy się doń zbliżają. Umysł nic nie stracił ze swojej jasności. Myśli Jego idą przedewszystkiem do Zgromadzenia, które tak umiłował, a raczej do obydwu Rodzin św. Wincentego, bo nigdy nie oddziela jednej od drugiej. Widzieliśmy to dobrze w przemówieniu, które z łóżka wypowiedział przed przyjęciem ostatnich Sakramentów do konfratrów i sióstr obecnych, w przemówieniu zbyt długiem dla Niego, zbyt krótkiem dla nas.

Błogosławił członkom obu Zgromadzeń. Błogosławieństwo obejmowało wszystkie prowincje. Polecał się ich modlitwom.

Bóg jest wszechmocny. Możemy spodziewać się jeszcze, że zachowa nam Tego, który od lat 13 prowadził obie Rodziny drogą naznaczoną przez św. Założyciela. Z całą gorliwością serca dziecka, które drży o życie swojego ojca, polecamy Go Panu naszemu i Jego Matce Niepokalanej, w których miłości pozostajemy współbracia oddani.

Emile Cazot, Arthur Fugazza,
Edouard Robert, Charles Souvay.

Pogrzeb odbył się w Paryżu dnia 30 stycznia 1933 roku. Wikarjuszem Generalnym Zgromadzenia jest X. Cazot. Konwent Generalny przez niego wyznaczony jest na dzień 26 lipca b. r. celem wyboru nowego Superjora Generalncgo.

300-lecie Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia.

Dzień 29 listopada 1933 r. przypomni nam wypadek ważny w rocznikach Kościoła katolickiego, mianowicie założenie Sióstr Miłosierdzia. Według swojego zwyczaju postępowania stopniowego czyli jak sam mawiał chodzenia ręka w rękę z Opatrznością, św. Wincenty oddawna już położył podstawy tej instytucji. Akt 29 listostopada 1933 r. oznacza tylko nową fazę dzieła, które postępowało bez przerwy.

Aby znaleźć pierwsze jego początki, trzeba cofnąć się do roku 1617. Św. kapłan, wówczas proboszcz małej parafji Chatillon en Bresse (w departamencie de l'Ain), ubierał się w zakrystji w szaty kościelne, bo właśnie miał zaczynać mszę św. Zbliżyła się doń pewna pani, by mu opowiedzieć o chorobie i nędzy rodziny, gdzie ojciec, matka, dzieci, wszystko było chore; kto więc przyjdzie im z pomocą? W czasie mszy św. miał kazanie. Mówił z serca. Słuchacze wzruszeni do łez. Po południu zamożniejsze osoby parafji zgromadziły się u pewnej pani i każda oświadcza się z gotowością do pomocy. Po nieszporach udaje się tam proboszcz w towarzystwie parafjanina. Widzi parę kobiet udających się w tym samym kierunku. Spotyka inne, które wracają. Zauważa inne, które odpoczywają, siadłszy przy drodze, ocierając się z potu, który spływał z ich czoła. Było ich tak wiele, powie później, że zdawało się, że jest to procesja.

Wreszcie doszedł do chorych. Każdy z odwiedzających zostawił coś od siebie. Widzi całą masę pożywienia przyniesionego. Patrzy na to z pewną dumą, ale i z pewnem zakłopotaniem. Wielkie to miłosierdzie, ale miłosierdzie niezorganizowane. Tak sam sobie myśli. Dziś ci biedni ludzie mają więcej niż potrzebują, znacznie więcej, a za parę dni nie będą mieć nic.

Serca i dłonie otworzyły się na jego słowo. Ale to nie starczy. Jak wszystko, tak i miłosierdzie, ażeby nieść mogło wszystkie swoje owoce, musi być zorganizowane. Na punkcie organizacji proboszcz z Chatillon był mistrzem. Zgromadził co zamożniejsze panie parafji i zachęca je do odwiedzenia pokolei ubogich chorych w parafji i do zajmowania się nimi tak co do duszy, jak co do ciała.

Pierwsze bractwo miłosierdzia jest stworzone. Pierwsze sługi ubogich, zwane także sługami miłosierdzia (miłosiernemi), rozpoczynają swoją działalność pod kierownictwem proboszcza. Ten okiem uważnem patrzy na bieg i rozwój dzieła. W listopadzie, po trzech miesiącach doświadczenia, uważa za stosowne dać mu regulamin.

„Bractwo składa się z kobiet, tak wdów, jak zamężnych i panien, których pobożność i cnota są znane, i które dają rękojmię wytrwałości, pod warunkiem jednakże, by zamężne i panny miały pozwolenie mężów, ojców i matek, a nigdy inaczej; ażeby jednak przez zbyt wielką liczbę nie wkradło się zamieszanie, ilość należących do bractwa może dochodzić tylko do 20-tu, aż do nowego postanowienia".

Regulamin dodaje sługom ubogich dla administracji majątku stowarzyszenia prokuratora, którym będzie jaki pobożny duchowny lub mieszczanin danej miejscowości, cnotliwy, kochający ubogich, a dla czuwania przy chorych takich, którzy są sami i niemogą się ruszyć, będą dwie biedne kobiety, uczciwe i pobożne.

Ustanowi się drogą wyborów wydział, do którego należeć będą prócz proboszcza i prokuratora przewodnicząca, skarbniczka i asystentka. Obowiązki każdej z tych osób są określone bardzo dokładnie. Jeżeli ubogi spełnia wszystkie warunki wymagane, by mógł być zapisany na listę wspieranych przez Bractwo, jedna ze sług ubogich udaje się do niego, przynosi mu białą koszulę, jeżeli jej niema, zachęca go do wyspowiadania się w tym samym dniu i przygotowania się do Komunji św. dnia następnego, poda mu krzyżyk, a raczej przybije go sama na ścianę, żeby był stale na oczach chorego, postara się, jeżeli tego potrzeba, o stolik, o serwetkę, o miseczkę, talerz, łyżkę i t. d.

Codziennie sługa ubogich przychodzi dwa razy. Zajrzyjmy jeszcze do regulaminu: „przygotuje obiad, zaniesie go do chorych, wchodząc pozdrawia ich pogodnie i uprzejmie, przysunie stolik do łóżka, nakryje serwetką, położy miseczkę, poda łyżkę i chleb, pomoże choremu w umyciu rąk i odmówi „Benedicite", naleje zupy do miseczki, ułoży wszystko na stoliku, potem zachęci chorego uprzejmie do jedzenia, dla miłości Jezusa i Jego świętej Matki, a wszystko z miłością, jakgdyby to robiła dla swojego dziecka a raczej dla P. Boga, który przyjmuje jakby dla siebie to dobre, które się uczyniło biednym. Powie mu jakieś dobre słowo o Zbawicielu, w tem usposobieniu postara się rozweselić go, jeżeli będzie bardzo przygnębiony, potnie mu czasem na kawałki mięso, naleje mu napoju i, jeżeli ma kogo przy sobie, pozostawi go i pójdzie do innego chorego, aby tak samo z nim się obchodzić. Pamiętać przytem będzie zawsze, ażeby rozpoczynać u tego, który ma kogoś w domu, a kończyć na tych, którzy są sami, aby przy nich móc pozostać dłużej. Pod wieczór przyjdzie znowu, przynosząc im wieczerzę w tym samym porządku, jak wyżej".

Wszystko jest przewidziane. Niczego nie pomija umysł praktyczny i miłosierny św. Wincentego, ani ilości, ani jakości dań, ani specjalnych pokarmów na dni postne lub dla takich chorych, którzy z powodu słabego żołądka nie mogą przyjmować pewnych pokarmów.

Bractwo zajmowało się również troską o duszę swoich ubogich przez czytanie książek nabożnych, przez zachętę do cierpliwości i do ufności w P. Bogu. Czuwało przedewszystkiem, ażeby chory był dobrze przygotowany na śmierć przez spowiedź, Komunję św. i Ostatnie Olejem namaszczenie. Pomoc doczesna i pomoc duchowna. Proboszcz z Chatillon nie chciał oddzielać jednego od drugiego, ponieważ prawdziwe miłosierdzie wszystko obejmuje, jest uniwersalne. Przywiązywał nawet więcej wagi do miłosierdzia co do duszy, aniżeli do tego drugiego, tak jak życie wieczne jest o wiele ważniejsze, niż życie doczesne.

Jeżeli przyszła śmierć, to Bractwo zajmowało się jeszcze pogrzebem. Nie opuszczało swoich ubogich wcześniej, jak po za-

prowadzeniu ich na miejsce ostatniego spoczynku i po ubraniu przystojnem ich grobu.

Ceremonja erekcji urzędowej nastąpiła 8 grudnia, w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny, po zatwierdzeniu regulaminu przez wikarjusza generalnego w Lyonie. Św Wincenty nie miał czasu śledzić postępy swojego dzieła, bo wkrótce potem na usilne naleganie pani de Gondi wrócił do Paryża. Ale to, co widział zachęcało go do wytrwania na raz obranej drodze. Zaprowadzał bractwa lub, jak wówczas mówiono Miłosierdzia (Charité) we Villepreux, w Joigny, Montmirail, Folleville i w bardzo wielu innych miejscowościach. Zachowując podstawy regulaminu pierwotnego umiał stosować szczegóły według potrzeb danej miejscowości. Organizował czasem Miłosierdzia mężczyzn, czasem także Miłosierdzia mieszane, jednakże Miłosierdzia Pań miały zawsze u niego pierwszeństwo i one same trzymały się dobrze. Ażeby zapewnić dochody, używano różnych sposobów: to Stowarzyszenie miało swój warsztat, tamto utrzymywało owce, wszystkie uciekały się do zbiórek i składek, niektóre otrzymywały część podatków.

Zgromadzenie Misji założone w 1625 r. dla opowiadania słowa Bożego po wsiach stało się w rękach Założyciela środkiem potężnym do rozpowszechniania Bractw Miłosierdzia. Pomoc wielkich pań przez cnotę, a często także przez bogactwa stała się Jemu również pożyteczną. Odznaczyła się przedewszystkiem panna le Gras w tym dziele.

Jakkolwiek mieszkał św. Wincenty w stolicy, to jednak myślał tylko o wsiach. Czy sądził, że Miłosierdzia są mniej potrzebne w Paryżu z tego powodu, że biedni chorzy mogli się dostać łatwo do szpitali? Czy też myślał, że panie przyzwyczajone, aby im usługiwano, mniej nadawały się do obsługiwania ubogich?

Mimo wszystko spróbował jakkolwiek później. Pierwsze Bractwo paryskie zaczęło się 1629 r. w parafji St. Sauveur, w której mieszkał w r. 1625. Drug,e zaczęło się 1630 r. w parafji St. Nicolas de Chardonnet, gdzie przebywał później i która była również parafją panny le Gras. Prawie wszystkie inne parafje poszły za tym przykładem.

Jak się słusznie obawiał, wielkie panie nie bardzo chciały zadać sobie tyle trudu, by osobiście wykonać pracę ręczną, którą

wykonywały tak chętnie panie i kobiety we wsiach i miasteczkach, jak przygotowanie pokarmu dla biednych, przyniesienie go, zajmowanie się kłopotami chorego, utrzymanie porządku w mieszkaniu biednych. Robiły to ich służące. Ale czy od służących można oczekiwać, że zajęcie, które uważają tylko jako pańszczyznę, wykonywać będą z cierpliwością i z miłością dla biednego chorego?

Próba się nie udała. Co więc należało uczynić? Tu trzeba kobiet i dziewcząt z ludu, które pociągane miłością dla ubogich będą gotowe stać się ich sługami przez miłość dla P. Boga.

Poruszony tą myślą, zaczął szukać św. Wincenty. Pewnego dnia, w czasie misji głoszonej w Suresnes, pewna panna przyszła do niego. Nazywała się Małgorzata Naseau. Nauczyła się czytać i pisać sama na pastwisku przy krowach, z abecadłem w ręku prosiła przechodniów o pomoc w trudnościach, na jakie napotykała w tej sztuce. Potem pouczała inne dziewczęta, które znów stały się nauczycielkami w szkółkach okolicznych wiosek. Kiedy św. Wincenty mówił jej o ubogich chorych i o swoim zamiarze, żeby im dać dobrowolne pielęgniarki, dała się przekonać.

Widziano ją naprzód w parafji Zbawiciela (St. Saveur), potem w St. Nicolas de Chardonnet, zawsze zapracowaną w bractwach Miłosierdzia tych dwu parafij. Panie ją bardzo ceniły, ubodzy ją miłowali. Miała heroiczną nieroztropność, że do swojego łóżka przyjęła zaraźliwą chorą, sama się zaraziła od niej i umarła. Jej karjera sługi ubogich potrwała tylko trzy lata.

Ale ofiarowały się bractwom Miłosierdzia już inne dziewczęta. Były pomiędzy niemi doskonałe. Były też i takie, które panie musiały odprawić. Zrozumiał św. Wincenty, że dobrze byłoby poznać je, zanim im się da zajęcie, a nawet że dobrze byłoby pouczać je i kształcić, umieszczając pod kierownictwem jednolitem. Tak powstała i sprecyzowała się myśl o wspólnem życiu, z pewnego rodzaju nowicjatem przygotowawczym. Panna le Gras, z domu Ludwika de Marillac, kierowniczka bractwa Miłosierdzia St. Nicolas, odczuwała również potrzebę kształcenia dziewcząt. A ponieważ sama posiadała przymioty potrzebne do kierowania takiej szkoły milosierdzia, nic nie stało na przeszkodzie. Można zaczynać. Jej ojciec (brat Michała de Marillac, kanclerza państwa i Ludwika Marillac, marszałka Francji), umarł

w 1604 r., pozostawiając ją sierotą trzynastoletnią. Wyszła zamąż 5 lutego 1613 za sekretarza królowej Marji de Medicis, za Antoniego le Gras, stała się matką z końcem tegoż roku, wdową zaś 21 grudnia 1625 r. Strata męża była dla niej okrutną. Jej syn sprawiał wielkie zmartwienia. Przywiązana do męża, do syna, do ubogich, którym usługiwała i pomagała, kochała jednak przedewszystkiem Boga, i żałowała, że nie oddała Mu się wyłącznie przez śluby zakonne. Zdrowie miała słabe, duszę trapioną skrupułami, serce przeczulone, zdawało się, że jest przeznaczona do cierpień. Miała szczęście, że na drodze życia spotkała św. Wincentego, który umiał skorzystać z pięknych przymiotów, jakie w niej złożyła natura i łaska: zdrowy sąd o rzeczach, rzadki zmysł organizacyjny, miłość dla ubogich, pobożność anielska, przedziwna uległość dla tych, którzy raz zyskali jej zaufanie. Od r. 1629 oddała się dziełu miłosierdzia, jak pani Goussault i panna Pollalion idąc na wieś to tu, to tam, a w Paryżu pracując w Miłosierdziu św. Mikołaja, gdzie była przewodniczącą.

Te zajęcia jej się podobały, a jednak zawsze jeszcze pociągało ją życie wspólne. To ostatnie pragnienie zostało zaspokojone 29 listopada 1633 r. w dniu, w którym trzy czy cztery dziewczęta wybrane przez św. Wincentego, zostały przyjete do jej domu, prawdopodobnie przy ulicy Wersalskiej (rue de Versailles). Tam wstąpiły, by się dać od niej wykształcić w służbie ubogich. Są to początki bardzo skromne instytucji dziś rozpowszechnionej we wszystkich częściach świata.

Głos ludu nazwał członków tej instytucji „pannami miłosierdzia", „sługami biednych chorych" i ta nazwa pozostała.

Pierwsze siostry pochodziły z pod Paryża. Zachowały ubranie i nakrycie głowy. A wszystkie, które później wstępowały, ubierały się tak samo.

Pierwszy regulamin, jaki posiadamy, pochodzi z nieco późniejszych czasów, może o miesiąc lub dwa po 29 listopada. Kończy się uwagą panny le Gras: „Jeszcze nie zachowały milczenia".

W tym regulaminie czytamy: „Panny wstają o godz. 5·30, klękają odrazu przy łóżku, ażeby wielbić Boga, ubierają się, ścielą łóżko i udają się na miejsce modlitwy o 6 tej godzinie".

To ćwiczenie duchowne kończy się o godzinie 7-mej. Następują niektóre modlitwy: litanja do Najśw. Panny, „Respice", „Retribuere", „De Profundis" i Anioł Pański. Potem, dodaje regulamin: „powtarzają rozmyślanie i starają się spamiętać najważniejsze postanowienie, by wykonać je w ciągu dnia".

Po życiu modlitwy, idzie życie czynne. Siostry, do których w tym dniu należy obsługa ubogich chorych, aby się zapewnić, że wszystko będzie gotowe o godzinie pół do dziesiątej, t. j. na godzinę na którą ustalone są odwiedzania chorych. Te do których należy staranie o lekarstwa, zanoszą je do chorych.

Potem schodzą się razem w kościele parafjalnym, aby wysłuchać mszy św. Dalej już aż do południa zostają w domu. Uczą się czytania, mają lekcję katechizmu, zajmują się pracami ręcznemi. W południe egzamin partykularny, „Benedicite" i obiad, po nim dziękczynienie. Potem wszystkie wychodzą: jedne udają się do lekarza, aby odebrać ich rozporządzenia, inne idą do pani, która nazajutrz będzie miała troskę o przygotowanie pożywienia dla biednych.

Po powrocie do domu znowu uczą się czytania, mają lekcję katechizmu i czytają nieco z Ewangelji, aby pobudzić się do wykonywania cnót i do miłości bliźniego według wzoru Syna Bożego. Trzeba również przygotować lekarstwa, bieliznę, drzewo, konfitury przeznaczone dla ubogich.

O godzinie 6-tej wieczór czytanie duchowne, potem wieczerza poprzedzona egzaminem partykularnym i „Benedicite", a po wieczerzy dziękczynienie.

Potem rekreacja i praca aż do godziny 9-tej. Dzień kończy się egzaminem generalnym, modlitwami wieczornemi: „Confiteor, Misereatur, Indulgentiam, Visita quaesumus, Respice, Angele, Retribuere, De profundis" i litanją o Imieniu Jezus. O godzinie 10-tej spoczynek. Przed spaniem siostry klękają, wielbią Boga i proszą Go o błogosławieństwo na noc.

Pod koniec tego regulaminu panna le Gras pisze: „Dziewczęta bardzo pragną przyjąć Komunję św. w święta i w niektóre niedziele. Stale trzymają się tego zwyczaju, że zanim o to poproszą spowiednika, wpierw mnie o tem mówią; korzystam z tej

okazji, by im zwracać uwagę na niektóre błędy, których nie powinny dopuszczać się osoby, komunikujące często".

Św. Wincenty przychodził od czasu do czasu i mówił do tych dziewcząt o Bogu i o ubogich, o piękności ich powołania i o wierności dla obowiązków. Nie posiadamy Jego dwu pierwszych konferencyj. W czasie trzeciej, dn. 31 lipca 1634 r., 12 sióstr Go słuchało. Objaśniał im regulamin. Pierwotny regulamin już doznał niektórych zmian. I tak godzina wstania to już nie pół do szóstej, ale 5-ta godzina. Siostry wówczas zajęte były tylko w pięciu bractwach paryskich. Dwie u Zbawiciela, dwie u św. Mikołaja, jedna u św. Benedykta, trzy u św. Pawła, cztery w głównym szpitalu (a może i pięć, jeżeli się liczy pannę le Gras). Przełożone mianowano na jeden miesiąc.

W przeciągu ośmiu miesięcy małe Zgromadzenie wzrosło tylko o 8 czy 9 członków. Św. Wincenty cieszył się tem. Wolał takie dzieła, które wzrastały powoli. Na czem Mu najwięcej zależało, to było nabycie cnót, któreby z Jego dziewcząt zrobiły prawdziwe sługi Boga i biednych. Nad tem pracował ciągle, tak przez zachęty, jak przez nagany i przez czujność ustawiczną.

Niepokoiło Go jedno wspomnienie. Wizytki niedługo po założeniu zaniechały odwiedzania chorych, aby zamknąć się w klasztorze. Czy nie należało się obawiać, że w przyszłości u Sióstr Miłosierdzia nastąpi podobne wypaczenie pierwotnego dzieła? Bez przestanku powtarzał im, że ich powołanie nie jest podobne do powołania zakonnic, że ich kaplica to kościół parafjalny, że ich klasztor to ulice miasta, że ich krata, to bojaźń Boża, że ich welon, to święta skromność. Przez ostrożność usuwał nawet w mowie wszystko, co mogłoby przypominać życie klasztorne: tę instytucję nazywał bractwem lub towarzystwem, nowicjat nazywał seminarjum, przełożoną nazywał siostrą służebną, rezydencję domem lub zakładem. Nie było kraty w rozmownicy, nie było stroju specjalnego, nie miały nawet ślubów, aż dopiero od 1640 r., a i te śluby były prywatnemi i najczęściej na jeden rok.

Takie były początki Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Trzeba o nich pamiętać w dniu trzechsetlecia. W przeciągu 300-tu lat iluż to wsparto ubogich, ile sierót przygarnięto, ile usług oddano

chorym! Gdybyśmy wszystkich mogli zgromadzić na obszernej równinie, jakie ogromne mnóstwo ich roztaczałoby się przed naszemi oczyma! Ale na co zdałyby się zachwyty nad dobrem dokonanem. Prawdziwe miłosierdzie jest skromne. Nie chełpi się, ale idzie ciągle naprzód z poświęceniem zawsze równem, bez oglądania się poza siebie.

X. JÓZEF GAWORZEWSKI C. M.

Proces beatyfikacyjny Wielebnej S. Katarzyny Labouré.

Dnia 12 grudnia 1932 r. według wiadomości nadeszłych z Rzymu odbyła się sesja Kongregacji Św. Obrzędów celem badania cudów zdziałanych za przyczyną S. Katarzyny. Jest to stadjum ostatnie tej sprawy, ale jeszcze nie końcowe, bo proces przejść musi jeszcze kilka zebrań Kongregacji Św. Obrzędów.

Dla uwidocznienia stanu tej sprawy zdać sobie trzeba sprawę choć pokrótce z całego przebiegu procesu beatyfikacyjnego, aby jaśniej ocenić stadjum obecnie prowadzonego procesu.

Proces beatyfikacyjny przechodzi według prawa kościelnego zasadniczo dwa okresy, t. j. proces t. zw. informacyjny i proces apostolski.

Informacyjny przeprowadza biskup, w którego diecezji sługa Boży zmarł. Dotyczy on: 1) pism sługi Bożego, czy wolne są od wszelkiego błędu i niezgody z nauką Kościoła św. (kan. 2042 i nast.), 2) sławy świętości sługi Bożego, która nie ma być sztucznie wywołana, lecz spontaniczna i to u większej części ludzi tej miejscowości (kan. 2050 i nast.), 3) kwestji, czy słudze Bożemu nie oddawano czci publicznej (kan. 2057), 4) ogólnie dotyczy cnót i cudów sługi Bożego.

Kiedy proces informacyjny zostanie ukończony, akta jego, opieczętowane, przesłane zostają do Rzymu, do Kongregacji Św. Obrzędów i odtąd nazywa się ten proces apostolskim.

Proces apostolski przechodzi zasadniczo trzy stadja. Nasamprzód poddane zostają akta procesu informacyjnego, dotyczące, jak wyżej powiedzieliśmy, opinji świętości *(fama sanctitatis)*, nieoddawania czci publicznej *(de non cultu)* oraz badania, czy niema innych przeszkód prowadzenia sprawy beatyfikacji.

Decyzja w tym względzie zostaje powzięta na zwyczajnem posiedzeniu Kongregacji Św. Obrzędów, która rozstrzyga, czy należy wyznaczyć Komisję do prowadzenia procesu beatyfikacyjnego w danym wypadku.

Jeżeli decyzja Kongregacji jest dodatnia, wtenczas następuje propozycja przedstawiona J. Św. Papieżowi, aby wyznaczył Komisję do prowadzenia sprawy beatyfikacyjnej i wydaje się odno śny dekret. Od tej chwili prowadzenie procesu beatyfikacyjnego należy wyłącznie do Kongregacji Św. Obrzędów.

Wspomnieliśmy powyżej o wyznaczeniu Komisji w prowadzeniu sprawy beatyfikacyjnej — jaki jest jej skład? Sprawę beatyfikacji sługi Bożego (ej) przedkłada Kardynał, należący do tej Kongregacji Św. Obrzędów, a mianowany przez Ojca św. w tym celu, t. zw. *cardinalis ponens*.

Drugim ważnym czynnikiem w procesie jest generalny promotor wiary. Należy do niego obrona prawa i zasad Kościoła; do niego należy zebrać wszystkie zarzuty przeciw przedstawionym twierdzeniom i faktom historycznym, aby prawda o świętości danej osoby wyszła na jaw całkowicie na chwałę sługi Bożego (ej),

Popularnie urząd promotora wiary nazywa się urzędem „adwokata-djabła". Do pewnego stopnia przeszkadza on w prowadzeniu procesu i często bardzo opóźnia znacznie jego postęp.

Do Komisji wchodzi też notarjusz jako urzędnik prowadzący akta sprawy. Nadto do Komisji powoływani są świadkowie, rzeczoznawcy, tłumacze, obrońcy sprawy i t. p.

Wszyscy biorący udział w sprawie beatyfikacyjnej są związani przysięgą, że tylko prawdę mówić będą, oraz zachowają sekret aż do ukończenia i ogłoszenia publicznie aktów beatyfikacji.

Imieniem Zgromadzenia, które spowodowało zaczęcie procesu beatyfikacyjnego występuje kapłan, który rezyduje stale w Rzymie i nosi tytuł postulatora sprawy beatyfikacyjnej. Składa on także przysięgę, że tylko prawdę mówić będzie i nie będzie posługiwać się żadnym podstępem (kan. 2037 § 4).

Po ukończeniu badania procesu informacyjnego i ewentualnie zatwierdzeniu go na posiedzeniu w obecności Kardynała Prefekta Kongregacji Św. Obrzędów, Kardynała, który sprawę

przedkłada *(ponens)*, trzech Kardynałów wyznaczonych w tym celu przez Ojca św., dalej Sekretarza Kongregacji, protonotarjusza apostolskiego, promotora wiary i jego zastępcy (kan. 2100), proces wchodzi w drugie stadjum, którego celem jest zbadanie szczegółowe cnót sługi Bożego, t. j. zbadanie, czy były one w stopniu heroicznym. Zauważyć tu należy, że okres czasu, wymagany zwyczajnie przez prawo kanoniczne, aby można przystąpić do badania cnót sługi Bożego, jest lat 50 od śmierci jego (kan. 2101).

Roztrząsanie heroiczności cnót odbywa się na 3 zebraniach, które nazywają się: przygotowawcze *(antepraeparatoria)*, przygotowawcze *(praeparatoria)* i generalne *(generalis)*.

Przedprzygotowawcze *(antepraeparatoria)* odbywa się wobec Kardynała, który sprawę przedstawia *(ponens)*, oraz wobec prałatów, urzędników i konsultorów Kongregacji; przygotowawcze *(praeparatoria)* odbywa się wobec wszystkich Kardynałów należących do Kongregacji Św. Obrzędów, prałatów-urzędników i konsultorów.

Kardynałowie po wysłuchaniu głosów konsulorów orzekają, czy sprawa ma iść dalej. Tak sekretarz Kongregacji, jakoteż promotor wiary mają tu głos celem dania odnośnych wyjaśnień.

Zebranie generalne odbywa się wobec Papieża, Kardynałów, należących do Kongregacji Św. Obrzędów, prałatów-urzędników i konsultorów.

Kardynałowie, prałaci i konsultorzy mają tu jedynie głos doradczy, decydujący sąd o heroiczności cnót sługi Bożego wypowiada Papież.

Jeżeli sąd ten wypadnie dodatnio, to Papież poleca wygotowanie odpowiedniego dekretu, który orzeka, że sługa Boży posiada cnoty teologiczne oraz cnoty moralne kardynalne oraz inne w stopniu heroicznym. Wtenczas to dopiero przysługuje słudze Bożemu tytuł: Wielebny *(Venerabilis)* (kan. 2104).

Następuje potem trzecie stadjum procesu beatyfikacyjnego, które ma za cel zbadać cuda, zdziałane za przyczyną sługi Bożego. I tak wymagane są dwa cuda, jeżeli tak w procesie informacyjnym, jakoteż apostolskim występują naoczni świadkowie, którzy o cnotach sługi Bożego zeznają na co sami patrzeli

trzy cuda są potrzebne, jeżeli w procesie informacyjnym byli świadkowie naoczni, a w procesie apostolskim występują świadkowie, którzy od świadków naocznych słyszeli o cnotach sługi Bożego; cztery cuda są wymagane, jeżeli w procesie jednym i drugim występują świadkowie nie naoczni lecz ci, którzy przez tradycję dowiedzieli się o cnotach zmarłego sługi Bożego (kan. 2117).

Podobnie jak w sprawie cnót w stopniu heroicznym, tak również w sprawie cudów odbywają się trzy zebrania: przedprzygotowawcze, przygotowawcze i generalne (kan. 2120).

Jeżeli wszystkie trzy zebrania dały wynik dodatni, Ojciec św. poleca wydać dekret potwierdzający cuda.

Po tym dekrecie następuje jeszcze jedno zebranie w obecności Papieża, na którem roztrząsa się pytanie, czy bezpiecznie można przystąpić do beatyfikacji sługi Bożego? Po wysłuchaniu głosu konsultorów i Kardynałów, Ojciec św. decyduje i poleca wygotować dekret beatyfikacyjny.

Z powyżej naszkicowanego toku procesu beatyfikacyjnego wynika, że sprawa beatyfikacji S. Katarzyny przeszła proces informacyjny, przeprowadzony w Paryżu, gdzie Wielebna Siostra zakończyła swój żywot dnia 31 grudnia 1876 r.

Akta procesu informacyjnego wyslano do Rzymu, gdzie ponownie zbadane przyniosły w rezultacie dekret introdukcyjny sprawy beatyfikacyjnej, wydany przez nieśmiertelnej pamięci Papieża Piusa X. dnia 11 grudnia 1907 r. [1]).

W sprawie heroiczności cnót Czcigodnej sługi Bożej odbyło się zebranie przedprzygotowawcze dnia 2 sierpnia 1927 r. Następnego roku dnia 5 czerwca odbyła się sesja przygotowawcza, która niestety musiała być ponowiona dnia 17 marca 1931 r., poczem dnia 7 lipca tegoż roku odbyła się sesja generalna w obecności Papieża, który swoją decyzję odłożył do dnia 19 lipca jako dnia, w którym kończył się jubileusz przyznany Zgromadzeniom św. Wincentego z powodu setnej rocznicy Objawienia się Najśw. Marji Panny Siostrze Katarzynie Labouré, oraz dnia głównej uroczystości św. Wincentego. Ojciec św. Pius XI. w obecności Kardynała Laurenti, prefekta Kongregacji Św. Obrzędów, Kardynała

---

[1]) Por. Annales de la Congr. de la Mission z 1908 r., str. 92.

Aleksandra Verde, przedkładającego tę sprawę w Kongregacji, promotora wiary świadka Natuci, sekretarza Carinci i wielu innych dostojników Kościoła oraz przedstawicieli obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego orzekł heroiczność cnót Czcigodnej sługi Bożej Siostry Katarzyny i polecił odczytać sekretarzowi Carnici dekret w tej sprawie, datowany dnia 19 lipca 1931 r. [1]).

Ostatnie stadjum sprawy beatyfikacyjnej S. Katarzyny zainicjowane zostało sesją przedprzygotowawczą odbytą jeszcze dnia 10 maja 1932 r. [2]), na której roztrząsano cuda zdziałane za przyczyną S. Katarzyny. Członkowie posiedzenia tego zapoznali się ze zeznaniami świadków, ze zdaniem specjalistów (o ile cuda dotyczą uzdrowienia, zdanie wypowiadają sławni lekarze), z zarzutami promotora wiary św. i z odpowiedzią obrońcy.

Ponieważ wynik tej sesji okazał się pomyślny, odbyła się zkolei dnia 10 grudnia 1932 r. sesja przygotowawcza również z dodatnim wynikiem [3]).

Generalna sesja wobec Ojca św. spodziewana jest w krótkim czasie, bo 7-go lutego, poczem ukaże się dekret w sprawie cudów.

Wreszcie nastąpi sesja, która zadecyduje o samej beatyfikacji.

Do dzieci św. Wincentego należy modlić się, aby to się stało w roku bieżącym, kiedy Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia obchodzić będzie trzechsetletni jubileusz swego istnienia.

---

[1]) Por. Annales, r. 1931, str. 150.

[2]) L'echo de la maison mère, nr. 5, r. 1932, str. 87.

[3]) Tamże, r. 1933, nr. 1, str. 7.

X. LEOPOLD PETRZYK C. M.

Historja parafji Najśw. Marji Panny w Pabjanicach.

Parafję Najśw. Marji Panny w Pabjanicach na t. zw. Nowem Mieście otrzymało nasze Zgromadzenie w 1919 r. od J. E. X. Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa włocławskiego. Warto więc już dziś po 13 latach nakreślić jej kronikę, tembardziej, że niektóre szczegóły mogą być bardzo interesujące. Zanim jednak przejdę do właściwego tematu, chciałbym podmalować tło, podać choć w krótkim zarysie historję miasta i charakterystykę jego mieszkańców

I. Miasto Pabjanice [1]).

Pabjanice to bardzo starodawna miejscowość. Za panowania pierwszych Piastów należała do kasztelanji zwanej Chropy, będącej własnością panującego księcia. Już wtedy istnieją wsie, dziś należące do naszej parafji jak: Jutrzkowice, Bychlew, Karniszewice i t. p. Przełomowym w dziejach Pabjanic był rok 1086, w którym Judyta, żona księcia Władysława Hermana, na podziękowanie Bogu za przyjście na świat syna swego Bolesława Krzywoustego, ofiarowała część kasztelanji z Pabjanicami, Kapitule Krakowskiej wraz „z ludnością i jej powinnościami, ze wszelkiemi daninami w zbożu, miodzie, tudzież w skórkach kunich i wiewiórczych". (Mateusz Miechowita: „Historja Polski", księga III, rozdział I). Odtąd Kapituła Krakowska dzierży włości pabjanickie przez prawie 700 lat, bo aż do 1793 r., w którym zagarnęli je Prusacy.

Siedzibą dóbr pabjanickich i rezydencją administratora stały się Pabjanice w XIV w. i w tym czasie też wyniesiono je do god-

[1]) Maksymiljan Baruch: „Pabjanice, Rzgów i wsie okoliczne". — Studja szkice historyczne.

ności miasta. Leżały nad rzeczką Dobrzynką, dawniej zwaną Nercem, w samym środku dóbr kapitulnych, miały więc dogodne warunki rozwoju.

Przez Pabjanice kilkakrotnie przejeżdżali królowie polscy, n. p. Władysław Jagiełło dwukrotnie gościł w tem mieście w 1411 i 1432 r.

Z ramienia Kapituły Krakowskiej administrowali dobrami pabjanickiemi specjalnie na to stanowisko wybierani kanonicy. Mieli oni nietylko obowiązek zawiadywania majątkiem kapitulnym, ale byli również naczelnikami sił zbrojnych, których ilość bardzo skromna ograniczała się do 10 halabardników, ale zawsze mogła mniejszym napadom zapobiec.

Założyli szkołę, zbudowali szpital. Co pewien czas wysyłała Kapituła lustratorów, którzy badali stan gospodarczy dóbr. W tym charakterze zjawił się w 1466 r. w Pabjanicach historyk Jan Długosz i pozostawił w aktach szereg szczegółów, pozwalających wyrobić sobie dokładne wyobrażenie o ówczesnym wyglądzie miasta.

W drugiej połowie XVI w. powstają w Pabjanicach dwa wspaniałe, do dziś istniejące zabytki: kościół i zamek. Kościół św. Mateusza zaczęto wznosić w 1583 r. na miejscu małego kościółka drewnianego, strawionego pożarem. Budował go na wzór kościoła płockiego, Ambroży Włoch z Płocka pochodzący, a stale zamieszkały w Warszawie. Styl Kościoła zasadniczo romański jest niejednolity. Świątynia bowiem kilkakrotnie była po częstych pożarach przerabiana. Drugim monumentalnym gmachem Pabjanic to dawny zamek kanoników krakowskich, dziś siedziba magistratu. Zbudowany w stylu krakowskiego renesansu, przypomina ratusze w Sandomierzu, Szydłowcu, a zwłaszcza w małych, rozumie się, rozmiarach, krakowskie Sukiennice. Przepiękna jest zwłaszcza attyka zasłaniająca dach, o kunsztownie sfalowanym rysunku.

Pierwotny herb Pabjanic był bardzo podobny do krakowskiego. Przedstawiał bowiem mur z trzema wieżami i otwarte wrota. Dokoła napis: P. C. C. C. (Pabjanice, Civitas Capituli Cracoviensis). Później miasto przyjęło jako swój, herb Kapituły Krakowskiej, zwany Aaron, wyobrażający w srebrnem polu trzy złote korony: jedną na dole, dwie w górze. Miał to być symbol Trzech Króli ze wschodu.

Majątki pabjanickie przetrwały w rękach Kapituły Krakowskiej aż do drugiego rozbioru. Dawały niezłe dochody, skoro, o ile je Kapituła wypuszczała w dzierżawę, to pobierała tenuty 10.000 zł. polskich rocznie. — Od XVII w. zaczyna się miasto chylić do upadku. Pożary, morowe powietrze, przechody i grabieże wojsk szwedzkich, polskich, saskich, wreszcie pruskich tak je zrujnowały, że Prusacy, objąwszy je w 1793 r., zastanawiali się, czy nie należy zmienić miasta na wieś. Rząd pruski zagarnąwszy Pabjanice, odebrał dobra Kapitule Krakowskiej i zaczął je na gwałt kolonizować. Sprowadzał mnóstwo chłopów z Niemiec, dawał im grunta na własność lub w wieczystą dzierżawę. To też do dziś okolice Pabjanic zasiane są osadami niemieckiemi.

Część dóbr zabranych kapitule Fryderyk II rozdzielił między arystokrację francuską, wygnaną z ojczyzny przez rewolucję. Pozostał ślad tej chwili przejściowej w nazwie jednej wsi: Wymysłów francuski.

W 1807 r. Pabjanice wszedłszy w skład Księstwa Warszawskiego, stały się własnością rządową. Później za czasów Królestwa Kongresowego poczęły się rozwtjać bardzo szybko, a to wskutek powstawania w tych okolicach przemysłu tkackiego. Co więcej, rząd Królestwa Kongresowego, chroniąc wieś przed dalszym zbytnim napływem żywiołu niemieckiego, nie bał się tego zalewu wobec miast, owszem w zamiarze jak najintenzywniejszego zaszczepienia przemysłu włókienniczego, zaczął sprowadzać z zachodu tkaczy i przędników, nadając im wielkie ulgi i przywileje. W ten sposób powstało w Pabjanicach Nowe Miasto, które dziś obejmuje nasza parafja. Mianowicie w 1823 r. z gruntów folwarcznych wydzielono place i rozdano tytułem wieczystej dzierżawy przybyszom niemieckim z Prus, Czech i Saksonji. Odtąd datuje się rozkwit przemysłu tkackiego w Pabjanicach, a ludność napływowa powoli zaczyna sobie przyswajać język i kulturę polską i mieszać się z ściągającymi zewsząd do fabryk polskimi chłopami. Przed wybuchem wojny europejskiej w 1914 r. było w Pabjanicach 50.000 mieszkańców. Wojna dała się bardzo we znaki. Trzykrotnie pod miastem toczyły się zawzięte bitwy. Okupacja niemiecka wyniszczyła gospodarczo Pabjanice okropnie. Przemysł zamarł, maszyny w części zniszczono, w części wywieziono do Niemiec.

Teraz, w czasie Polski Niepodległej, zaczyna się znów miasto podnosić. Fabryki puszczono w ruch. Istnieje kilkadziesiąt fabryk włókienniczych, wśród nich największa Krusze - Ender, zatrudniająca ponad 4.000 robotników. Pozatem jest papiernia, słynna fabryka chemiczna, wyrabiająca znane lekarstwa, fabryka żarówek, kilka wielkich młynów parowych, fabryki maszyn żelaznych i t. p. Pabjanice posiadają obecnie według spisu z r. 1931, 45.655 mieszkańców. Katollków w tem jest 32.400, a reszta żydzi i protestanci. Parafja na Starem Mieście liczy 11.100 dusz, na Nowem, czyli w parafji Najśw. Marji Panny 21.300 osób. Na Starem Mieście mieszkają mieszczanie t. zw. „ziomkowie" albo krótko łyki, na Nowem, potomkowie dawnych niemców, w wielkiej mierze spolszczeni i robotnicy, którzy w czasach rozwoju fabryk, masami napłynęli z okolicznych wiosek. Żydzi osiedlili się przeważnie na Starem Mieście.

Życie kulturalne i społeczne bije bardzo silnem tętnem. W Pabjanicach są trzy gimnazja, Koedukacyjne Seminarjum Nauczycielskie, znakomicie postawiona Szkoła Rzemiosł, odlewająca nawet dzwony i pomniki, wreszcie 17 szkół powszechnych 7-mio klasowych. Wydatnie pracuje Macierz Szkolna. Wspaniale postawiony jest ruch spółdzielczy, n. p. Stowarzyszenie Spożywców „Społem", ma przeszło 20 sklepów, regulujących ceny na tutejszym targu i skutecznie konkurujących z handlem żydowskim. Nadto jest szereg stowarzyszeń kulturalnych i oświatowych, śpiewaczych i sportowych, liczne związki zawodowe robotników, pracowników umysłowych, Resursa Rzemieślnicza, skupiająca cechy pabjanickie i t. d.

II. Parafja Najśw. Marji Panny na Nowem Mieście.

Kościół św. Mateusza rychło okazał się zaszczupły, by mógł pomieścić wszystkich swych parafjan, parafja bowiem liczyła już ponad 30.000 wiernych. Pod koniec XIX w. powstała nagląca konieczność wzniesienia nowej świątyni. Zdania na ten temat były podzielone. Mieszkańcy Starego Miasta chcieli wznieść kościół w miejscu, gdzie dziś stoi kaplica św. Florjana, a gdzie dawniej był pabjanicki cmentarz, przepołowiony na dwie części przez wytkniętą tędy szosę do Łodzi biegnącą. Grzebano tu zmarłych

aż do 1820 r. Zabrano się więc do roboty. Zwieziono kamienie, wapno, otrzymano pewną partję cegieł. Była to myśl, którą dyktował pietyzm dla pogrzebanych w tem miejscu przodków. Ale jednak potrzebniejszym daleko był kościół na Nowem Mieście, które się coraz intenzywniej rozbudowywało w stronę dworca kolejowego. Mieszkańcy Starego Miasta nie chcieli nawet o tem słyszeć, rozpadł się więc pierwotny komitet budowy kościoła, łączący obywateli obu części miasta. Walka pozostała nierozstrzygnięta i zaczęto równocześnie wznosić kaplicę św. Florjana na Starem Mieście, a kościół Najśw. Marji Panny na Nowem; miejsca bowiem były położone w równych odstępach od kościoła macierzystego św. Mateusza. W 1897 r., staraniem Aleksandra Kamińskiego, prezesa Komitetu Budowy i radnego Magistratu pabjan. Nowe Miasto otrzymało od Rady miejskiej gratisowo 2 morgi, t. zw. „glinianek“. Zakrzątnięto się około zrobienia planów, które wykonał budowniczy łaskiego powiatu inż. Tadeusz Markiewicz, wzorując się na niedawno wykończonym kościele Najśw. Marji Panny w Łodzi.

Po zatwierdzeniu planów zaczęto kopać fundamenty we wrześniu 1898 r. i wznosić ściany. Dnia 20 maja 1900 r. X. prałat Edward Szulc, proboszcz parafji św. Mateusza, w licznej asyście księży, przy udziale kilkunastu tysięcy wiernych, poświęcił kamień węgielny nowego kościoła. Od tej pory zaczęła się intenzywna praca, zwłaszcza, kiedy X. Biskup delegował do zbierania składek bardzo dzielnego i gorliwego X. Pilicha Ignacego, składki hojnie sypały się, tak od jednostek, jak od firm.

Do Komitetu wówczas należeli: X. Prałat Edward Szulc, X. Ignacy Pilich, Aleksander Kosiński, Ludwik Hille, Kazimierz Pączkiewicz, Bolesław Sadowicz, Józef Hans, Józef Szulc, Józef Fałkiewicz, Stanisław Lewandowicz i Edward Kaleciński. Kościół budowała firma „Józef Hans“. W 1902 r. wykończono mur i nakryto kościół dachem. Dotąd wydano ponad 80.000 rubli, nie licząc ofiar w naturze, które wartały kilkanaście tysięcy rubli.

W 1903 r. zasklepiono nawy, wprawiono okna i 20 grudnia tegoż roku, w ostatnią niedzielę przed Bożem Narodzeniem odprawił pierwszą Mszę św. X. Jan Śliwiński, prałat Kapituły Włocławskiej, delegat X. Biskupa Stanisława Zdzitowieckiego. Odtąd

w każdą niedzielę i święto odprawiali wikarjusze staromiejscy Mszę św. i kazania głosili w nowym kościele.

Trzeba podkreślić wielką ofiarność firm dla kościoła nowomiejskiego. Firma Krusche złożyła 10.000 rb. i zapłaciła witraże do 3 okien przy wielkim ołtarzu. Firma Kindler ufundowała wszystkie drzwi kosztem 4.000 rubli. Przedewszystkiem jednak największe ofiary złożył X. Prałat Edward Szulc, proboszcz staromiejski, dając na nowy kościół kilkakrotnie po kilkanaście tysięcy rubli.

W 1906 r. zaszczycił Pabjanice wizytą X. Stanisław Zdzitowiecki, biskup włocławski, odprawił w nowym kościele Mszę św. i zapowiedział utworzenie nowej parafji. Podział nasuwał się sam przez się. Rzeka Dobrzynka znakomicie rozgraniczała miasto. Toteż w 1907 r. utworzono nową parafję pod wezwaniem Najśw. Marji Panny, obejmującą część dawnej parafji św. Mateusza, ciągnącą się na lewo od rzeczki Dobrzynki. Wskutek tego podziału przy parafji św. Mateusza pozostało 15.000 wiernych, a 20.000 otrzymała nowa parafja. Tak nierówno podzielono, gdyż na starem Mieście mieszkali i mieszkają zamożniejsi mieszczanie, z których większość ma własny domek i trochę pola, natomiast na Nowem, prawie wyłącznie robotnicy i nieco pracującej inteligencji, przeważnie biednych ludzi. Jeśli mieli tak wielki kościół zbudować, a potem go konserwować, musieli być w większej liczbie.

Pierwszym proboszczem nowej parafji został X. Wojciech Helbich. Zabrał się z wielkim zapałem do wykończenia kościoła. Niestety, już w następnym roku naraził się rządowi rosyjskiemu, bo wbrew nakazowi władz prowadził akta stanu cywilnego wyłącznie po polsku. Przed aresztowaniem musiał w przebraniu uciekać.

Drugim proboszczem parafji Najśw. Marji Panny został w 1908 r. X. Franciszek Jüttner. On sprawił w kościele posadzkę kosztem 5.000 rb., ołtarz wielki i dzwony. Ponieważ dotąd wszyscy księża mieszkali w domu prywatnym, X. Jüttner zaczął stawiać plebanję. Ogół komitetu był zdania, że dla upiększenia miasta powinno się plebanję, gmach wspaniały, dwupiętrowy, jak pokazywał plan, wybudować przy ulicy Zamkowej. X. Jüttner oparł się temu życzeniu i najsłuszniej przeprowadził wykupienie terenu poza kościołem, i na nim, zdala od zgiełku ulicznego, postawił olbrzymi budynek.

Tymczasem wybuchła wojna. Wykończenie kościoła utkwiło na martwym punkcie. Wobec fatalnych warunków, walk dokoła miasta kilkakrotnie szalejących, niepewności jutra, niesłychanej nędzy, nie można było nawet marzyć o jakichkolwiek ofiarach na kościół. Owszem, dzięki Bogu, że i tak z walk wyszedł kościół obronną ręką. W czasie jednej z bitew, na wieży kościelnej Moskale urządzili punkt obserwacyjny. Kiedy to Niemcy spostrzegli, poczęli zasypywać kościół gradem kul armatnich. Odłamki granatów uszkodziły nieco ściany i witraże, ale naogół większej szkody nie zrobiły.

Niemcy, jak w całem b. Królestwie, zabrali dzwony. W 1916 r. w oczach mrowia parafjan, niestety bezbronnych, wśród ogólnego płaczu i popłochu, opuścili je Niemcy z wież, rozbili i wywieźli.

Kiedy wojna się zakończyła X. Jüttner zniszczony, schorowany po przejściach okupacyjnych, czując się coraz gorzej, za pragnął usunąć się od obowiązków duszpasterskich w nowej parafji. W związku z tem X. Biskup Zdzitowiecki obmyślił nową erę jej dziejów i oddał parafję Zgromadzeniu Księży Misjonarzy.

III. Parafja Najśw. Marji Panny pod zarządem Zgromadzenia Księży Misjonarzy.

W styczniu 1919 r. J. E. X. Stanisław Zdzitowiecki, biskup kujawski, rezydujący we Włocławku, zwrócił się do ówczesnego wizytatora X. Kaspra Słomińskiego z propozycją objęcia przez nasze Zgromadzenie dwóch placówek w jego diecezji: parafji Najśw. Marji Panny w Pabjanicach, coraz więcej żżeranej przez prądy wywrotowe, które paraliżować, zdaniem X. Biskupa, mógłby skutecznie tylko jakiś zakon, i nawiązania tak pochlebnie w pamięci tamtejszej diecezji zapisanej pracy naszych dawnych Misjonarzy w Seminarjum Duchownem, przez objęcie obowiązków Rektora, i jednej z katedr profesorskich. Po półrocznych pertraktacjach upadła narazie sprawa osiedlenia się ponownego naszego Zgromadzenia w Seminarjum diec. z powodu braku w danej chwili odpowiednich sił, natomiast 21 lipca X. Wizytator mógł uwiadomić X. Biskupa, że już ma przygotowaną grupę misjonarską, która podejmie obowiązki duszpasterskie w Pabjanicach. I rzeczywiście 5 sierpnia 1919 r. Księża Misjonarze objęli oficjalnie parafję Najśw. Marji Panny. Byli to: X. Bartłomiej Szulc, superjor

domu nowego i proboszcz, X. Stanisław Kalla, X. Paweł Głowala i X. Rufin Weiss.

Nowy proboszcz X. Bartłomiej Szulc zabrał się do pracy energicznie, by upiększyć wspaniałą świątynię. Niestety, nędza panująca w kraju, szerząca się zwłaszcza na odcinkach robotniczych, nie dozwalała dokonać ostatecznego wykończenia kościoła. Tembardziej, że prócz trudnych zarobków, parafjanie pod wpływem przeżyć wojennych byli jakby zaczadzeni, oszołomieni, zastygli, nie można ich było wyrwać z odrętwienia i pobudzić do ofiarnego wysiłku. Udało się jednak zakupić dzwony. Nabyto je w Szwajcarji kosztem 21.500 franków szwajc. Jeden z nielicznych tutejszych fabrykantów katolików, p. Rensz, sprawił własnym kosztem stacje Drogi Krzyżowej. Zaczęto budowę ambony, sprawiono aparaty kościelne. Dokoła kościoła ciągnęły się doły, woda w kościele wypływała z pod posadzki. X. Szulc wyrównał cały teren, wykopał dwa stawki przed plebanją, przeprowadził ścieki na dalekie pola i w ten sposób osuszył świątynię.

X. Szulc widząc beznadziejne narazie wysiłki celem wykończenia kościoła, zwrócił całą uwagę na wykończenie plebanji. Przygotowano powoli cały parter i pierwsze piętro na mieszkania dla księży, na pomieszczenie kancelarji parafjalnej, mieszkanie dla organisty, sal na zebrania stowarzyszeniowe. By zaś księżom zapewnić częściowo żywność wzniósł budynki gospodarcze, zakupił krowy i konie, prześlicznie urządził ogród i sad, przylegający do plebanji. Pierwszy proboszcz z ramienia Zgromadzenia, bardzo ruchliwy, rozwinął szeroką działalność na terenie miasta. Objął katechetury w gimnazjum i seminarjum nauczycielskiem, zyskując sobie wśród tutejszego nauczycielstwa wielki posłuch, jako wybitny fachowiec w dziedzinie pedagogiki, rozwinął ruch Chrześcijańskiej Demokracji i z jej ramienia spełniał godność radnego miasta Pabjanic i członka prezydjum Kasy Chorych, opanowanej wówczas zupełnie przez komunistów i socjalistów, pośredniczył z całem poświęceniem między wychodźcami do Francji, a ich rodzinami w Pabjanicach, co wtedy, wobec niezorganizowanych jeszcze należycie placówek konsularnych, pochłaniało dużo czasu i trudu.

*

*   *

Czytelnicy raczą darować, że następna część historji parafji Najśw. Marji Panny w Pabjanicach będzie najobszerniejsza i najszczegółowsza, ale przecież opisywać ją będę na podstawie własnych przeżyć, więc mimo chęci streszczania się, chcąc dać jednak możliwie najdokładniejszy obraz obecnego stanu parafji, muszę się rozpisać szerzej.

1. Wykończenie kościoła Najśw. Marji Panny.

Jeszcze dziś z pewną łezką sentymentalną w oku przypominam sobie pierwsze chwile po przybyciu do Pabjanic. Po Warszawie czułem się tu jak niedźwiadek, który wpadł do głębokiej studni i bezradnie drepce w miejscu. Chodziłem kilka razy dziennie do kościoła, snułem się po nim jak cień, myśląc bezradnie od czego zacząć. Aż raz, kiedy wędrowałem jak zwykle po kościele, smętnie na wszystko spoglądając, przystąpił do mnie jakiś robociarz i jakby odgadując moje myśli i troski, podał mi bajeczny pomysł: „Nie wie X. Proboszcz jak się do kościoła zabrać? Moja rada taka: niech rozmaici rozmaite rzeczy posprawiają do kościoła. Rozdzielić to między nich i koniec". Pomysł był świetny i w tych warunkach jedyny. Jak przez mgłę pamiętam, zapomniałem nawet, że to kościół, starego uściskałem i jak szalony wybiegłem na plebanję spisywać, co w kościele potrzebne i rozglądać się od kogoby tego zażądać. Znakomita myśl. Powołać do pracy i ofiar wszystkie warstwy parafjan, od każdej sfery zażądać konkretnego daru, pobudzić ambicję, a wszystko ludzie zrobią. Ponieważ trzeba było wciągnąć wszystkie warstwy, zaprosiłem też do „Komitetu Wykończenia Kościoła" przedstawicieli wszystkich sfer i zaczęliśmy pracę. Skład tego Komitetu był i dotąd jest właściwie następujący: Panowie: Hans Józef i Sułkowski Piotr (przedstawiciele przemysłowców), Kneblewski Karol i Pabisiak Stanisław (kupcy), Piotrowski Antoni i Waligórski Teodor (robotnicy), Jankiewicz Stanisław i Kokociński Stanisław (rzemieślnicy), Nowak Teodor (urzędnik), Leonard Herman (katolicy - niemcy), Okrojek Antoni (przedstawiciel wsi).

Pod wpływem odezwy drgnęła parafja, pękła narosła przez wojnę skorupa apatji i pokazały się w sercach szczerozłote żyły ofiarności i zapału. Na wyścigi zaczęli zbierać składki robotnicy,

kupcy, rzemieślnicy, chłopi opodatkowali się od morgi, dzieciaki wyrzekały się grosików otrzymywanych na „irysy“ i składali na „swoje“ ołtarzyki. A rezultat: Za półtora roku kościół zmienił zupełnie dotychczasowy wygląd. Oto wykaz dokonanych prac i kosztów z niemi związanych:

instalacja elektryczna i żyrandole	14.857 zł	fund. robotników
malowanie kościoła	24.000 „	„ „
wykończenie wewnętrzne wież .	5.000 „	„ przemysłowców
stalle	8.300 „	„ kupców
ołtarz św. Józefa	15.750 „	„ cechów
ołtarz Serca Pana Jezusa	15.750 „	„ katolików mówiących po niemiecku
ołtarzyki św. Stanisława i św. Teresy	1.300 „	„ dzieci szkolnych
balustrada na chór	2.700 „	„ chłopów
kandelabry na wszystkie ołtarze .	1.250 „	„ nauczycielstwa
dywany	2.000 „	„ urzędników
kwietniki przed kościołem . . .	5.000 „	„ miasta

Prywatni zamożniejsi parafjanie przyczynili się również do ozdobienia kościoła. Figurę Matki Boskiej przed kościołem ufundowała firma Skupiński i Kwiram (1.500 zł). Latarnie wielkie przy ulicy sprawiło „Stow. Spożywców Społem“ kosztem 3.000 zł.

Wogóle wykończenie świątyni pochłonęło 100.000 zł. Nie wszystko złożyły wyłącznie zainteresowane grupy. Trzeba było „dorabiać“. Urządzano zabawy ludowe (pierwsza z nich dała czystego zysku 14.000 zł), koncerty, przedstawienia, znaczki sprzedawane po mieście, wyświetlanie filmów i t. p.

W następnych latach wstawiono ambonę, sprawiono dębowe, stylowe ławki, stalle przed bocznemi ołtarzami, pod filarami trzyosobowe prywatne ławki, założono instalację głośnikową, wejście od ulicy do kościoła wyłożono płytami. Dnia 2 grudnia 1928 r. zjechał do Pabjanic X. Biskup W. Tymieniecki z wizytą pasterską i przy tej okazji poświęcił nowe sprzęty wprowadzone do świątyni.

Trzebaby opisać kościół Najśw. Marji Panny. — Od ulicy Zamkowej na przestrzeni 1.100 m. kw. prowadzą płyty do samej świątyni, tworząc wspaniały dywan kamienny, chroniący nogi ludzkie i posadzkę kościoła przed błotem. Przed kościołem Ma-

gistrat Pabjanic urządził gustowne kwietniki, ujęte od ulicy w rząd stylowych, gotyckich słupów, spiętych łańcuchami. W środku kwietników z jednej strony wystrzela olbrzymi misyjny krzyż, z drugiej na gotyckim postumencie stoi figurka, przedstawiająca Matkę Boską Niepokalanego Poczęcia, dzieło słynnego rzeźbiarza M. Lubelskiego, twórcy pomnika Kościuszki w Łodzi.

Kościół sam, zwrócony czołem ku północy ma 105 łokci długości, 60 łokci szerokości, wysokość wynosi 105 łokci. Świątynia wybitnie gotycka w kształcie krzyża. Dwie wieże piętrzące się wyniośle, nadają jej monumentalny wygląd.

Wewnątrz uderza w oczy niezmiernie barwna w 10 kolorach mieniąca się polichromja, znakomicie harmonizująca z gotyckim stylem, a wprowadzająca polskie motywy. Jest dziełem artysty malarza p. Stanisława Dyzmańskiego, b. konserwatora wielkopolskiego. Pod chórem, przy wejściu widnieje herb Pabjanic, trzy korony. W ślepych górnych oknach namalowano postaci ewangelistów, świętych polskich i błogosławionych Zgromadzenia Księży Misjonarzy (św. Wincenty a Paulo, bł. Jan G. Perboyre, bł. Franciszek Clet i bł. Ludwika de Marillac).

Ze stropu zwisają żyrandole o niezmiernie lekkim rysunku, w stylu zmodernizowanego gotyku, wykonane przez firmę Marciniak w Warszawie. Jest ich dziewięć.

Ołtarz główny bardzo oryginalny, przedstawiający tajemnice Różańca św. wykonał artysta rzeźbiarz Bogączyk z Warszawy. Ołtarze boczne: Serca Pana Jezusa i św. Józefa, jak również stalle i małe ołtarzyki dziecięce św. Stanisława i św. Teresy wykonała firma „Stolarnia św. Wojciecha" w Poznaniu.

Wreszcie ambonę skomponował bardzo oryginalnie profesor tutejszego gimnazjum i seminarjum ś. p. Bem, na pamiątkę bohaterskiej śmierci swych dwóch synów, poległych w walce z bolszewikami w 1920 r.

Kościół ma organy stare, małe, nie przystosowane do swych potrzeb, ale sprawienie nowych, jest dziś marzeniem nieosiągalnem.

Wreszcie do absydy przytyka z jednej strony zakrystja, z drugiej kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej, w której zbierają się bractwa.

Przed dwoma laty wprowadzono do świątyni instalację głośnikową, by umożliwić wszystkim obecnym w kościele korzystanie z kazań. Ostatnio padła myśl zaprowadzenia ogrzewania kościoła, co jednak przy obecnym stanie finansowym parafji, jest marzeniem ściętej głowy.

Kościół jako całość przedstawia się bardzo pięknie i choć olbrzymi, nie przygniata ogromem, owszem jest przytulny, zbliża dusze do Boga, dla którego społeczeństwo tutejsze, w przeważnej liczbie robotnicze, te ofiary złożyło.

(C. d. n.).

X. Dr. HIERONIM FEICHT C. M.

X. Michał Marcin Mioduszewski C. M. (1787—1868).

Autor „Śpiewnika Kościelnego" z r. 1838 i lat następnych oraz „Pastorałek" i „Kolęd" z r. 1843 i 1853 zapewne nie rychło jeszcze doczeka się swej monografji. Zwięzłe wiadomości bio- i bibljograficzne, które podała jeszcze za życia X. Mioduszewskiego Encyklopedja Powszechna S. Orgelbranda[1]), a które nie wszędzie ściśle powtórzył czy uzupełnił Wojciech Sowiński[2]), wreszcie równie suche informacje Encyklopedji Kościelnej X. Michała Nowodworskiego[3]), stanowią, obok cennych wzmianek X. Stanisława Chodyńskiego[4]) i X. Dr. Franciszka Bączkowicza C. M.[5]) wszystko, co dotąd wiemy o X. Mioduszewskim.

Już samo wglądnięcie w oba wyżej wymienione zbiory pieśni, w metodę pracy ich autora i w sposób ich wydania, dla zorjentowania się, czy możnaby podjąć się ich opracowania, przekonało mnie, że monografję poświęconą obu zbiorom pieśni musi wyprzedzić chociażby zarys biografji ich autora. Z natury rzeczy biografja poświęcona księdzu, który dzięki swemu stanowisku czyto duszpasterskiemu, czy, jak w tym wypadku, wychowawczo-nauczycielskiemu, mógł tylko ubocznie, a może nawet bardzo ubocznie zajmować się muzyką czy pracą z jej zakresu, będzie obfitowała w szczegóły dla interesującej nas osoby istotne, bo wypełniające całe jej życie, ale dla dzieła jej z zakresu mu-

---

1) Tom 18, Warszawa, 1864, str. 642.

2) „Słownik muzyków polskich". Paryż, 1874, str. 263.

3) Tom 14, Warszawa, 1881.

4) „Seminarjum włocławskie". Włocławek, 1904, str. 81.

5) „Z dziejów domu stradomskiego". Roczniki obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo. Kraków, 1924, str. 30, 36 i 37.

zyki mało lub nawet nic nie znaczące, mimo, iż to właśnie dzieło stanowiące jej dorobek wartościowy w ogólnym bilansie zdobyczy kulturalnych, świadczy już dziś samo tylko bezpośrednio o owocnej pracy człowieka.

X. Michał Marcin Mioduszewski, syn Jakóba i Franciszki Łapińskiej, urodził się dnia 16-go września 1787 r. w Warszawie, gdzie został w parafji misjonarskiej św. Krzyża ochrzczony dnia 28 września 1787 r.[1]). W tejże parafji zawarli byli również jego rodzice związek małżeński w dniu 9 października 1785 r., przyczem Jakób Mioduszewski, pochodzący z sąsiedniej parafji ujazdowskiej (dziś św. Aleksandra wstąpił wówczas jako wdowiec w powtórne już związki[2]). Szczegóły te, poza datą urodzin, same w sobie dla nas obojętne, zaznaczam jedynie dlatego, że tłumaczą nam one do pewnego stopnia dalsze kroki życiowe X. Mioduszewskiego. Kiedy bowiem siedemnastoletni młodzieniec stanął wobec konieczności obioru zawodu czy stanu, a zdecydował się na stan duchowny, skierował swe kroki do seminarjum najlepiej sobie znanego zgromadzenia, t. j. do Księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo przy parafji św. Krzyża. Nie wykluczone oczywiście również i to, że mogło go do tego wyboru pociągnąć dosyć wybitne wówczas znaczenie Zgromadzenia, wraz z jego wizytatorem, a równocześnie proboszczem św. Krzyża, X. Józefem Jakubowskim, członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, byłym kapitanem artylerji, profesorem matematyki w szkole wojskowej, a nawet jeszcze w stanie kapłańskim i misjonarskim profesorem w oficerskiej szkole artylerji i twórcą uwieńczonego powodzeniem planu ustawienia baterji dla obrony Warszawy w r. 1794.

Okres dwuletniej próby powołania, poczem studja filozoficzne i teologiczne zajęły Mioduszewskiemu lata od 1804—1810 r. Pomijając przebieg nauk filozoficzno teologicznych jako obojętnych dla kwalifikacyj muzycznych X. Mioduszewskiego, pragnęlibyśmy poznać wykształcenie muzyczne przyszłego autora Śpiew-

---

[1]) „Metryka chrztów“ (1787 r.) z Kancelarji Parafjalnej św. Krzyża w Warszawie.

[2]) „Metryka ślubów“ (1785 r.), tamże.

nika, jednakże zarówno chęć jak możność nietylko wyczerpującego, ale nawet dostatecznego przedstawienia stanu wychowania muzycznego w seminarjum świętokrzyskiem natrafia już dziś na nieprzezwyciężalne niemal trudności. Zasobna bibljoteka świętokrzyska przeszła, w czasie kasaty Zgromadzenia (r. 1864) częściowo w inne ręce, częściowo została wraz z archiwum wywieziona do Petersburga, wreszcie uległa rozprószeniu w rękach prywatnych samychże XX. Misjonarzy, usiłujących w ten sposób ratować to, co się jeszcze uratować dało. Zapiski znowu archiwalne, czy wzmianki w pracach odnoszących się do seminarjów duchownych (X. Chodyńskiego, X. Stanisława Wysockiego i X. Bączkowicza) ograniczają się albo do suchego stwierdzenia faktu, że uczono śpiewu, albo do pochlebnych wprawdzie, ale ogólnikowych, metody (sposobu) nauczania śpiewu nietłumaczących pochwał w rodzaju „wielką wagę przywiązywano zawsze w seminarjum do śpiewu kościelnego[1]). To też bardzo mało światła rzucają, nawet na sam stan śpiewu gregorjańskiego, dochowane dziś w bibljotece świętokrzyskiej księgi muzyczno-liturgiczne. Z czasów studjów Mioduszewskiego jest tam dziś jeszcze *Psalterium secundum Ritum Offici Romani ex Decreto S. S. Concilii Tridentini restitutum, per hebdomadam dispositum, cum antiphonarum, psalmorum hymnorum novorum, totiusque Officii cantu et notis, ex usu et consuetudine Provinciae Poloniae nunc demum ad novissimam Breviarii Romani editionem restitutum... Cracoviae, 1654.* Księga posiada dopisek »*ad usum externorum*«, co oznacza, że była w użyciu alumnów kształcących się na księży diecezjalnych (nie na Księży Misjonarzy). Z ksiąg używanych przez kleryków misjonarskich, do których należał Mioduszewski, dochował się, dobrze zresztą zużyty i pozbawiony karty tytułowej Antyfonarz również wydania krakowskiego z XVII w. Wewnętrzna strona jego przedniej oprawy posiada napis *Ex Bibliotheca Varsoviensi Congr. Missionis ad usum Seminarii Interni S. Crucis*, zaś druga karta — verso zawiera następujące notatki *Ad usum Seminarii Interni Congr. Miss. ad S. Crucem reparatum noviter*

---

[1]) X. Stanislaw Wysocki: „Seminarjum Zamkowe w Krakowie, jego dzieje i ustrój". Lwów, 1910, str. 190.

anno 1818, denuo reparatum noviter anno 1825 per Alexandrum Jezierski... Dalsza księga, cała spisana a zaopatrzona na kilku początkowych stronach notatkami *Ex Sacristia S. Crucis, 1803, Ad usum Internorum,* nie przedstawia zdecydowanego typu księgi liturgicznej. Przeważają w niej śpiewy pozostające w związku z nieszporami. Obydwa wydawnictwa należą do ksiąg drukowanych wprawdzie w XVII w., ale zawierających chorał o typie tradycjonalnym. Natomiast mniejszą wartość posiada rękopis. Wreszcie z książek, które powstały podówczas w seminarjum świętokrzyskiem, a dziś są w bibljotece domu stradomskiego w Krakowie, należy wymienić wcale ciekawe, starannie wykonane i pięknie dochowane *Cantionale, Varsaviae 1803 conscriptum,* Piotra Józefa Hersztowskiego[1]), ówczesnego alumna, wyświęconego w r. 1806, a więc nieco starszego kolegi Mioduszewskiego. Pod względem układu zbliża się już ono (choć jeszcze nie pokrywa się całkowicie) do dzisiejszego kancjonału. Na samym początku zawiera ono na sześciu stronach *Fragmenta ex principiis cantus choralis,* ciekawe pod niejednym względem mimo ich zwięzłości, n. p. *Si infra lineam Ut b rotundum positum est, debet cantari Za, si nullum signum aut (signum) quadratum, semper cantatur Si; hoc autem intelligendum est, si libri ex quibus canitur sint bene notati et correcti* i t. d. W braku książek o teorji chorału stanowią te zwięzłe zasady wraz z *Instructio ad cantum choralem,* zawartą w *Cantionale Ecclesiasticum* X. Pawła Rzymskiego[2]), (starszego o rok kolegi szkolnego Mioduszewskiego) — jedyną podstawę, z której możemy wnioskować, że nauka śpiewu choć prowadzona sposobem praktycznym, była jednak udzielana metodycznie. Wskazują więc na to

---

[1]) Ten kancjonał, jak również kilka innych ważnych źródeł (Akt darowizny książek, kopja listu X. Mioduszewskiego, Spostrzeżenia stopni ciepła), znajdujących się w Bibljotece lub Archiwum domu stradomskiego Księży Misjonarzy w Krakowie, wyszukał i dał mi dla wyzyskania ich w niniejszej pracy X. Pius Pawellek C. M., bibljotekarz tejże bibljoteki, za co poczuwam się do miłego obowiązku złożenia Mu w tem miejscu serdecznego podziękowania.

[2]) Warszawa, 1822. Jest to pierwszy kancjonał w pojęciu dzisiejszem tej księgi, t. j. składającej się z „Processionale" i „Funebrale". Przy niniejszej pracy miałem pod ręką niestety dopiero wydanie czwarte, powiększone, z r. 1846.

takie wyrażenia Instrukcji jak: *Intonatio scalae... primum est cantus fundamentum a quo proinde Tyroni incipiendum est, et eo usque sese exercendum, donec probe eam didicerit*; wskazują na to ćwiczenia w trafianiu interwałów, które uczeń musi opanować, zanim przystąpi do dalszej nauki t. j. do śpiewu z podstawionym tekstem i t. d. Śpiew należał do t. zw. *exercitia hebdomadalia*, z których każde dawno raz na tydzień przez wszystkie trzy (podówczas) lata studjów. Pozostawał on jednak z natury rzeczy w związku z innym tejże grupy przedmiotem, t. j. rubrum (rubryki mszału i brewjarza) nazwanym przez X. J. A. Ławsa, reformatora tych przedmiotów właśnie za czasów studjów Mioduszewskiego, liturgiką (*Hebdomadale studiorum*... Warszawa, r. 1805). Wykładano z niej w jednym roku liturgję mszy, w drugim psalmodję[1]. Lecz i bez zwracania się do przedmiotów pobocznych w stosunku do śpiewu, w celu wytłumaczenia sobie tego osobliwego zjawiska, że śpiew zajmuje w planie tylko jedną godzinę tygodniowo, mamy pewne podstawy do sądzenia, że w rzeczywistości nie ograniczał się on do tej jednej godziny. X. Chodyński[2], opisujący działalność Księży Misjonarzy we Włocławku w tymże czasie, wspomina wyraźnie o codziennych, poza planem przewidzianych ćwiczeniach śpiewu czyto po obiedzie czy po kolacji, zwłaszcza porą zimową, gdy rekreacji w ogrodzie używać nie było można. Podobnie twierdzi X. Wysocki[3], opisujący też same stosunki w Seminarjum zamkowem w Krakowie. Wreszcie należy pamiętać o tem, że alumni misjonarscy spędzali przed rozpoczęciem studjów filozoficzno-teologicznych dwa lata lub conajmniej rok całkowicie wolny od nauki w seminarjum internum (nowicjacie) Zgromadzenia, poświęcony badaniu powołania, a wypełniony ćwiczeniami praktycznemi, t. j. m. in. właśnie nauką ceremonij liturgicznych i śpiewu. Nie bez znaczenia jest

---

[1] X. Fr. Bączkowicz, Op. cit., Roczniki, r. 1915, str. 138.

[2] Op. cit., str. 151:

[3] Op. cit. str. 190 i str. 298, gdzie w zacytowanych statutach z r. 1612 czytamy: „hora media finietur recreatio et... postea in cantu gregoriano se exercebunt, uno ex alumnis praesidente", co w statutach bp. Szaniawskiego z r. 1728 (a więc w czasach gdy seminarjum było już w rękach Księży Misjonarzy) zostało zmienione tylko na „uno ex professoribus praesidente".

zapewne i ten fakt, że warunkiem przyjęcia do seminarjum była — przynajmniej jeszcze w XVIII w. — znajomość śpiewu gregorjańskiego. I tak w Krakowie piąty punkt warunków przyjęcia do seminarjum (wydanych jeszcze w r. 1612), brzmiący *Cantum saltem gregorianum, qui choralis dicitur, noverint,* został w statutach bp. Szaniawskiego w r. 1728 zatwierdzony w brzmieniu *Ad cantum gregorianum vocem firmam et flexilem ad facile discendum habeant*[1]). W tymże samym czasie douczali tylko Księża Misjonarze alumnów śpiewu, gdyż otrzymywali młodzież już przygotowaną ze szkół jezuickich i pijarskich, poczem w myśl ordynacji bp. Krystofa Sembeka z r. 1726 poddawali ją przed święceniami egzaminowi m. in. również ze śpiewu[2]). Podobne stosunki panować musiały przedewszystkiem u samych Księży Misjonarzy w Warszawie, skąd wychodzili po większej części przyszli profesorowie seminarjów diecezjalnych. W braku szczegółowych danych z okresu przypadającego na lata studjów Mioduszewskiego, musimy się ograniczyć do przytoczenia dwóch zdań, niestety bardzo ogólnikowych, ale jednak oświetlających do pewnego przynajmniej stopnia sprawę wychowania muzyczno-liturgicznego u Księży Misjonarzy. Pierwsze z nich, to zdanie X. Hugona Kołłątaya[3]): »Co do praktyk wielorakich obrządków, ta część szła z największą pilnością i dokładnością u Misjonarzów; oprócz lekcyj odbywali klerycy je w kościele i w chórze«; drugie, to notatka Łukasza Gołębiowskiego[4]) już z r. 1831 następującej treści: „O śpiewach łacińskich chóralnych nie mamy potrzeby wspominać, te nie podpadają smakowi mody; tyle nam tylko wypada wyrazić, że oprócz XX. Misjonarzy w Warszawie, od nie małego czasu w całym naszym kraju, zaniedbana jest nauka tego rodzaju śpiewu. Benedyktyni wszakże celowali w muzyce śpiew-

---

[1]) X. St. Wysocki Op. cit. str. 294.

[2]) X. St. Chodyński Op. cit., str. 133.

[3]) „Pamiętnik o stanie duchowieństwa katolickiego polskiego i innych wyznań w połowie XVIII wieku“. Wyd. J. K. Żupański, Poznań, 1840, str. 4 i następne.

[4]) „Gry i zabawy różnych stanów“..., Warszawa, 1831, str. 250; za Gołębiowskim powtarza to samo Wojciech Sowiński w „Słowniku muzyków polskich“..., Paryż, 1874, str. XXIV.

nej, doskonalili młodzież swoją, a śpiew ich nader był przyjemny" i t. d.

Zasób powyższych, tak szczupłych wiadomości, odnoszących się do śpiewu gregorjańskiego, możemy jeszcze uważać za dosyć znaczny w porównaniu z tem, co nam się dotąd udało zdobyć dla przedstawienia kultu muzyki wielogłosowej w seminarjum świętokrzyskiem. Nie idzie nam o produkcje nadzwyczajne, o nabożeństwa z okazji uroczystości narodowych, gdyż w tych wypadkach gościli na chórze kościoła św. Krzyża wykonawcy pozamiejscowi. Tak np. w pamiętnym dniu zaprzysiężenia Konstytucji, t. j. 3 maja 1791 r. wykonała tu kapela królewska *Te Deum* Giovan. Paisiella[1]), podobnie w r. 1811 odśpiewano tu z okazji przyjazdu Napoleona do Warszawy kantatę Józefa Elsnera do słów profesora Uniwersytetu warszawskiego Ludwika Osińskiego, poczem *Domine salvum fac regem.* Nie idzie nam również o parafjalne towarzystwo muzyczne, które według Sowińskiego[2]) miało istnieć przy kościele św. Krzyża, a które najprawdopodobniej zawiązało się raczej dopiero w początkach XIX w., na wzór towarzystwa muzyki kościelnej u Pijarów (r. 1811), Franciszkanów, Wizytek i t. d. Zapewne rozwijało ono się również słabiej niż towarzystwa w wymienionych kościołach, bo u Sowińskiego, informującego nas dotąd najobszerniej w tej sprawie, zauważamy rzadko wzmiankę o św. Krzyżu, a poza Walentym Głębockim[3]), nieznanym dotąd również Sowińskiemu organiście u św. Krzyża, spotykamy tam dopiero około r. 1850 siły nieco wybitniejsze jak Antoniego Radzińskiego († 1861), twórcę kilku mszy śpiewanych często u Księży Misjonarzy[4]) czy Walentego Pomorskiego, organistę i nauczyciela w Instytucie muzycznym w r. 1861[5]). W początkach XIX w. kładli zapewne jeszcze Księża Misjonarze większy nacisk na chorał, niż na

---

[1]) Ł. Gołębiowski. Op. cit. str. 252.

[2]) „Słownik muzyków polskich" str. XXII.

[3]) Kontrakt między X. Jakóbem Basińskim, wizytatorem Księży Misjonarzy a J. P. Walentym Głębockim, organistą, 1817, (Bibl. Księży Misjonarzy w Warszawie).

[4]) W. Sowiński. Op. cit. str. 317.

[5]) W. Sowiński, Op. cit. str. 312

wątpliwej wartości muzyczno-liturgicznej muzykę wielogłosową. Tak należałoby przynajmniej sądzić na podstawie wyżej cytowanego świadectwa Gołębiowskiego. Ale nam idzie tu jedynie o wielogłosowy śpiew w seminarjum świętokrzyskiem. Bardzo skąpe, ale zawsze jakieś światło rzuca nam na tę sprawę jedyny, dochowany z tego czasu ze zdekompletowanej całości *Cantus secundus*. Jednakże sama jego zawartość świadczy o jego pochodzeniu i przynależności. Zauważamy w nim bowiem siedm hymnów ku czci św. Wincentego a Paulo, następnie antyfony nieszporne ku czci tegoż świętego, jedną z czterech mszy dedykowaną również św. Wincentemu (*Missa a tribus vocibus de Sto Vincentio*), ponadto *introitus in Conversione St. Pauli* (święto uroczyście obchodzone w Zgromadzeniu) i *graduale pro inventione et exaltatione St. Crucis* (tytuł kościoła). Pozatem są tam hymny eucharystyczne i marjańskie, dwie pastorelle, kilka hymnów i śpiewów wielkopostuych, kilka kompletów antyfon nieszpornych i antyfony marjańskie, słowem materjał, jaki, co do jego doboru, jak i do stopnia trudności (i wartości) napotyka się normalnie w seminarjach pielęgnujących śpiew wielogłosowy. Na stronie 110—111 jest zanotowana pieśń (z melodją drugiego głosu) Boże, ludzie twoi przyszli, a na stronie 112 Wyższym nad nieba wzniosły majestatem, Boże. Pierwsza z nich znajduje się w Uzupełnieniu Dodatku trzeciego do Śpiewnika kościelnego pieśniami narodowemi[1]), na stronie 1049, jako Pieśń dziękczynna na Ustawę (konstytucyjną z dnia 3 maja 1791 r.). Że zbiór ten, z którego dziś pozostała tylko jedna książka głosowa, służył przynajmniej początkowo alumnom, a nie np. chórowi parafjalnemu, świadczy o tem napis na wewnętrznej stronie przedniej, tekturowej, grubej okładki: *Ad usum R. D. Żędzian* (sic!) *S.*, poczem *S. 1788, C. 1793.* Ani znaczenie tych liter, ani posiadacz tej książki nie jest nam znany; cyfry oznaczają z pewnością lata związane może bliżej z osobą posiadacza. Wyrażenie *ad usum* świadczy, że książka nie była (w myśl reguł Zgromadzenia) jego własnością, jeno własnością Księży Misjonarzy, których przeto członkiem

---

[1]) Lipsk, 1854.

musiał być ten, który otrzymał prawo jej używania. Trudno wchodzić bliżej w ocenę samych kompozycyj na podstawie jednego i to drugiego głosu. Tyle tylko można powiedzieć, że niektóre z nich, jak n. p. sama msza ku czci św. Wincentego posiada już znamiona kompozycji nie odpowiadającej we wszystkich szczegółach warunkom liturgicznym, gdyż Gloria i Credo zawierają intonację celebransa, a ponadto Gloria ma tekst niekompletny.

Nic wreszcie pewnego powiedzieć nie możemy o śpiewie ludowym poza znanym faktem, że u św. Krzyża pielęgnowano z pietyzmem nabożeństwo wielkopostne, zwane Gorzkiemi żalami, i że już znacznie przed X. Mioduszewskim spotykamy wśród Księży Misjonarzy krzewicieli śpiewu ludowego, jakim był np. w Łyskowie (wojewódz. nowogrodzkie) X. Zdulski w latach 1773—1781 [1].

(C. d. n.).

[1]) „Księga Pamiątkowa trzechsetlecia Zgrom. Księży Misjonarzy", Kraków, 1925, str. 215.

DR. KAZIMIERZ STOŁYHWO.

Sprawozdanie z podróży do Brazylji w sprawie badań antropologicznych nad ludnością polską w Paranie.

Z przyjemnością mogłem stwierdzić ożywioną działalność ideową na polu kulturalnem wśród pracowników instytucyj oświatowych. Odniosłem wrażenie, że p. Seweryn Maciszewski szczególniej położył tu wielkie zasługi w czasach ostatnich w zakresie rozbudzania ruchu kulturalnego polskiego w Paranie. Zwiedziłem również państwowy sierociniec w Kurytybie, prowadzony wzorowo przez polskie Siostry Miłosierdzia, zaproszone w tym celu przez rząd brazylijski. W sierocińcu tym znajdują się również i dziewczęta polskie, a więc jest faktem niezmiernie pomyślnym, że te dzieci polskie, pozbawione zupełnie rodziny, są jednak otoczone życzliwą opieką, znajdującą się w ręku Polek. Zwiedzenie tego sierocińca pozostawiło mi bardzo miłe wrażenie.

Dnia 4 lutego 1930 r. wyruszyłem do t. zw. „interioru" parańskiego, udając się najpierw w okolice najbliższe Kurytyby, gdzie znajdują się najstarsze kolonje polskie w Paranie. Szlak mojej wędrówki badawczej był następujący: Abranches — S. Candida — Orleans — Campo Largo — Thomas Coelho — Araucaria — Marechal — Mallet — S. Matheus — Agua Branca. Nieocenionym drogowskazem oraz informatorem przy wyborze terenów do badania były dla mnie wskazówki i mapka otrzymane od p. K. Warchałowskiego oraz praca podstawowa dotycząca Parany b. konsula polskiego w Paranie p. K. Głuchowskiego (1927) p. t. „Wśród pionierów polskich na Antypodach". W wyborze miejscowości, w których prowadziłem badania, kierowałem się też wskazówkami Konsulatu Polskiego w Kurytybie.

Ograniczyłem się do przeprowadzenia badań w tych miejscowościach Parany, które są najstarszemi terenami kolonizacji polskiej i które pod względem klimatycznym przedstawiają mniej więcej jednakowe warunki.

W każdej z miejscowości wymienionych powyżej zatrzymywałem się czas pewien i odbywałem wycieczki po okolicy, robiąc niekiedy dziennie do trzydziestu kilometrów. Osiedla polskie bowiem w niektórych miejscowościach są dość rozrzucone. Warunki komunikacyjne w tym terenie górzystym były bardzo rozmaite i zależne również od stanu pogody i różnych innych okoliczności. Większe odległości przebywałem bądź koleją, bądź też samochodem. Lokalne zaś wycieczki robiłem, zależnie od warunków miejscowych, bądź na piechotę z przewodnikiem, bądź konno, albo aranją, t. j. dwukołowym wózkiem na wysokich kołach, lub też zwykłym polskim wozem. W niektórych miejscowościach i w wycieczkach lokalnych korzystałem z samochodu, co ogromnie ułatwiało mi badania, bo mogłem szybko docierać do poszczególnych osiedli polskich.

Miło mi jest zaznaczyć, że wszędzie w Paranie spotkało mnie serdeczne i gościnne przyjęcie ze strony miejscowej inteligencji polskiej. Byłem niem szczerze wzruszony. Dotyczy to zarówno inteligencji świeckiej, jak i Ojców Misjonarzy, którzy są proboszczami w tych paraîjach, na terenie których prowadziłem swoje badania. Niestety w kraju niezawsze spotykamy się wśród kleru z takiem zrozumieniem i życzliwem ustosunkowaniem się do badań antropologicznych, jakich doznałem ze strony J. E. X. Ludwika Bronnego, Wizytatora Ojców Misjonarzy, oraz tak życzliwego poparcia badań moich ze strony prasy miejscowej, jakie spotkało mnie w szczególności ze strony „Ludu", wychodzącego w Kurytybie pod redakcją X. Pałki. Ogłoszone bowiem w tem piśmie artykuły i perjodyczne wzmianki o moich badaniach ułatwiły mi niezmiernie zetknięcie się bezpośrednie z kolonistami polskimi. Gdyby nie to życzliwe ustosunkowanie się kleru polskiego i miejscowej inteligencji polskiej do moich badań, przez towarzyszenie mi nieraz w moich wędrówkach po terenie, przez namawianie kolonistów polskich do poddania się moim badaniom i tłomaczenie im znaczenia tego rodzaju badań, nie potrafiłbym nieraz

przełamać nieufności ze strony naszych emigrantów. Z nieufnością i niechęcią do poddania się badaniu antropologicznemu spotykamy się wszędzie. Jesteśmy przyzwyczajeni do powstawania różnych legend nieuzasadnionych na tle przeprowadzanych przez nas badań. W danym przypadku jednak, w Paranie, nieufność do badań antropologicznych była uzasadniona nawet do pewnego stopnia wobec tego faktu, że badania moje przypadły na okres akcji przedwyborczej w Brazylji w sprawie wyboru nowego Prezydenta Republiki. Zanosiło się już w tym terenie wówczas nawet na rozruchy, w konsekwencji czego w stanie Parana skonsygnowane było wojsko w znacznej ilości. Nic więc dziwnego, że pomiary moje, wśród których były również pomiary wzrostu i klatki piersiowej, nasuwały wielu z pośród badanych przypuszczenie ewentualnej branki do wojska. Nic też dziwnego, że niektórzy z naszych kolonistów, szczególniej zaś w wieku poborowym, zmykali przedemną bądź w nieprzebyte gąszcze kapoeiry, bądź też kryli się w bujnych łanach kukurydzy. Były to jednak stosunkowo rzadkie przypadki, gdy spotykałem się z niechętnem usposobieniem ze strony kolonistów polskich do moich badań. Naogół doznałem i od kolonistów naszych gościnnego i serdecznego przyjęcia; wykazywali oni przeważnie zupełne zrozumienie celu i użyteczności moich badań. Bywały nawet takie przypadki, że niektórzy członkowie rodzin zbadanych przezemnie, których nie zastałem w domu podczas mego objazdu, przyjeżdżali sami do miejsca mego zamieszkania w tym terenie, np. do plebanji — ażeby się poddać moim badaniom. A mieszkali nieraz w odległości kilku, lub też kilkunastu kilometrów. Spotykały mnie wreszcie na terenie Parany propozycje niespotykane gdzieindziej, a mianowicie samorzutnie proponowano mi honorarjum za przeprowadzenie badań, a gdy oświadczyłem, że badanie jest bezpłatne, to dziękowano mi serdecznie za moją pracę. Śmiało więc powiedzieć mogę, że o wiele łatwiej uzyskiwałem zgodę na przeprowadzenie badań antropologicznych u rodaków naszych w Paranie, aniżeli w kraju, jak np. na podstawie doświadczenia osobistego — na Pomorzu. Badałem zresztą i w Paranie licznych kolonistów polskich z Pomorza polskiego i wyniosłem z zetknięcia się z nimi bardzo dodatnie wrażenie. Wystarczało nieraz krótkie, rzeczowe przemówienie, by

uzyskać zgodę na przeprowadzenie badań. Wspomnę tu np. o Fryderyku Lau z parafji orleańskiej, który wyemigrował z Pomorza polskiego. Oświadczył on mi, że jest „twardym Polakiem" pomimo, że odbył służbę wojskową w Berlinie.

Z wszelką gotowością poddał się natychmiast badaniu antropologicznemu, bez zadnych ceregieli i polecił tosamo uczynić swojej żonie, również wiekowej, jak i on, osobie.

Opowiadano mi, że Fryderyk Lau wpłacił znaczną sumę na pożyczkę Odrodzenia. Oto widzimy, że na dalękiej nawet obczyźnie kolonista polski zachować może żywe poczucie swej narodowości, jeżeli ma środowisko rodzinne polskie i kontakt z polską inteligencją i z kościołem polskim.

Miałem jednak na terenie Parany pod pewnym względem znacznie trudniejsze warunki badań aniżeli w kraju. Utrudniały mi mianowicie badania znaczne odległości poszczególnych osiedli polskich kolonistów. Ponieważ prowadziłem badania tylko nad rodzinami takiemi, w których mogłem otrzymać materjał dotyczący przynajmniej paru pokoleń, więc to stanowiło również trudność poważną. Niejednokrotnie bowiem zastawałem rodziny zdekompletowane z powodów najrozmaitszych: bądź brakowało ojca lub matki, albo też dzieci. Cóż można było poradzić na to, że ojciec lub synowie wyjechali na zarobki, np. na rąbanie lasu w odległej bardzo okolicy. Trzeba było jechać dalej — do nowego osiedla polskiego. Zabierało to jednak sporo czasu, a tem samem zmniejszało możność zgromadzenia obfitszego jeszcze materjału.

W zupełnie odrębnych warunkach pracowałem w Agua Branca. Przyjechałem tam w czasie, gdy w parafji tej odbywała się misja O. Misjonarzy X. Bieniasza i X. Szymbora, przybyłych w tym celu specjalnie z Polski. Skutek tego był taki, że osiedla polskie okoliczne były całkiem wyludnione, bo prawie wszyscy wyjeżdżali na cały dzień do kościoła w Água Branca. Myślałem już o przeniesieniu się gdzieindziej; dzięki jednak życzliwemu ustosunkowaniu się do moich badań ze strony miejscowego proboszcza, X. Zygmunta oraz Ojców Misjonarzy X. Bieniasza i X. Szymbora sprawa została załatwiona w ten sposób, że rodziny odpowiednie do badań zgłaszały się same do mnie na

plebanję. Dzięki tak pomyślnym warunkom badania zgromadziłem w Agua Branca spory materjał — wbrew pierwotnym przewidywaniom.

Zaciągnąłem więc w Paranie liczne długi wdzięczności za serdeczną gościnę i pomoc w moich badaniach w terenie. Pragnę tu wyrazić szczególniej gorącą wdzięczność Wielce Szanownym:

X. Bajerowi — proboszczowi w Thomas Coelho;
Dr. Czakiemu — z Marechal Mallet;
P. Gondkowi — Prezesowi Domu Polskiego w Araucarji;
X Góralowi — proboszczowi w Abranches;
X. Kandorze — proboszczowi w Orleansie;
P. Krzesimowskiemu — z Dorizonu;
X. Kuli — proboszczowi w Campo Largo;
X. S. Porzyckiemu — proboszczowi w S. Matheus;
P. W. Porzyckiemu — z S. Matheusa;
P. Rysikowi — z Marechal Mallet;
P. Smoleńskiemu — z Araucarji;
P. Wachowiczowi — z Araucarji;
X. Warkoczowi — proboszczowi w S. Candidzie
i X. Zygmuntowi — proboszczowi w Agua Branca.

Pragnę tu również wyrazić Prefektowi Tertuliano d'Almeida Faria z Matheusa i Prefektowi Pizatto z Araucarji serdeczne podziękowania za uprzejme użyczenie mi samochodów do rozjazdów w podległym im terenie.

*
* *

Uważałem za swój obowiązek zwiedzić szkoły polskie w terenie badanym przezemnie. Zwiedziłem mianowicie szkoły następujące: w Abranches szkołę i ambulatorjum prowadzone przez Siostry Miłosierdzia; w S. Candida szkołę prowadzoną przez Siostry Marji; w Orleansie szkołę prowadzoną przez Siostry Marji; w Thomas Coelho szkołę prowadzoną przez Siostry Miłosierdzia; w Araucarji szkołę prowadzoną przez Siostry Milosierdzia; w Marechal Mallet Kollegium im. Kopernika – organizacja świecka społeczna; w S. Matheus szkołę i szpital prowadzone przez Siostry Miłosierdzia, oraz szkołę utrzymywaną przez Towarzystwo im. Ka-

zimierza Pułaskiego; jak też w Agua Branca szkołę prowadzoną przez Siostry Marji.

Zwiedzając zakłady powyższe nie miałem na względzie oceny ich poziomu pod względem pedagogicznym; chodziło mi tylko o wrażenie ogólne co do stanu tych szkół i ich charakteru polskiego. Stwierdziłem, że wszystkie one pracują w warunkach bardzo ciężkich, wobec żądania ze strony władz brazylijskich, by w ciągu 4-ch godzin dziennie w nauczaniu uwzględniany był język brazylijski.

A więc na język polski pozostaje bardzo mało czasu. Wszakże i w tych warunkach ciężkich dobra wola i ideowe traktowanie sprawy dużo zrobić może w zakresie uświadomienia narodowego młodzieży. Tę dobrą wolę mogłem zaobserwować we wszystkich zakładach, które zwiedziłem, a w wielu z nich widziałem gorący zapał do odpowiedniego pokierowania młodzieżą szkolną. Szczególniej dodatnie wrażenie pod tym względem otrzymałem zwiedzając Kollegjum im. Sienkiewicza w Kurytybie, Kollegjum im. Kopernika w Marechal Mallet, oraz szkoły w Abranches, Thomas Coelho, Araucarji i Matheus, prowadzone przez Siostry Miłosierdzia.

*
* *

Uważałem również za swój obowiązek wypowiedzieć odczyty dla miejscowej kolonji polskiej w każdej z tych miejscowości, w których przeprowadzałem badania. Wygłosiłem mianowicie odczyty w miejscowościach następujących:

W Abranches w Domu Polskim; w Orleansie ze schodów domu miejscowego Towarzystwa rolniczego polskiego, bo lokal był zbyt ciasny; w Thomas Coelho, w domu miejscowego Kółka rolniczego polskiego; w Araucarji w Domu Polskim; w Marechal Mallet w domu miejscowego Towarzystwa Polskiego; w S. Matheus w szkole Sióstr Miłosierdzia; w Agua Branca ze schodów szkoły Sióstr im. Marji, bo lokal był zbyt ciasny.

*
* *

Po ukończeniu moich badań w terenie parańskim wyjechałem dnia 7 kwietnia 1930 roku do Sâo Paulo na skutek łaskawych zaprosin ze strony JWP. Konsula Michała Świrskiego

w celu wygłoszenia odczytu w miejscowem Towarzystwie Polsko-Brazylijskiem.

Podczas bytności mej w Sâo Paulo zwiedziłem Muzeum Narodowe w Ipiranha, zawierające również zbiory etnograficzne i archeologiczne oraz nieco antropologicznych. Zwiedziłem też w Sâo Paulo specjalność brazylijską, a mianowicie Zakład wyrabiania surowicy przeciwwężowej w Butantan.

Miło mi jest złożyć tu gorące podziękowanie JWP. Konsulostwu Świrskim za serdeczną gościnność, jakiej doznałem w Ich domu, oraz JWP. Kickiemu, zastępcy Konsula, za odprowadzenie mnie dnia 11 kwietnia do Santos i zaopiekowanie się umieszczeniem mnie na statku „Gelria". Statkiem tym, należącym do Królewskiego Lloydu Holenderskiego, odbyłem podróż powrotną do Europy — tym samym szlakiem, co i podróż moja do Ameryki Południowej.

Zahaczyłem więc znowu o Rio de Janeiro, Bahię i Pernambuco i t. d. i stanąłem zpowrotem w Warszawie dnia 30 kwietnia 1930 r.

* * *

Przechodzę teraz do przedstawienia ogólnego wyników badań moich na terenie Parany.

Zbadałem tam ogółem 638 osób — według schematu obejmującego 18 pomiarów i 8 cech opisowych. Ograniczyłem się w danym przypadku do uwzględnienia najważniejszych tylko cech, pozwalających na przeprowadzenie definicji typu antropologicznego u poszczególnych indywiduów i pozwalających również określić stan ich rozwoju fizycznego.

Streściłem zatem normalny schemat do badań antropologicznych stosowany w Instytucie Nauk Antropologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego — pragnąc zbadać możliwie największą ilość osobników, by pozyskać pewną podstawę — przy wnioskowaniu dotyczącem różnych odchyleń od norm — znanych nam na podstawie badań antropologicznych, przeprowadzonych w Polsce.

Cel swój osiągnąłem, gdyż liczby osób zbadanych i liczba jednostek dziedzicznych, w obrębie zgromadzonego materjału,

jest najzupełniej wystarczająca — do ujęcia różnych zagadnień antropologicznych.

Opracowanie jednak zgromadzonego materjału wymaga dłuższego czasu, gdyż szczególniej badania nad dziedzicznością poszczególnych cech są bardzo kłopotliwe i pochłaniają sporo czasu ze względu na konieczność dokonania różnych zestawień i oświetlenia wyników danemi z literatury naukowej.

Obecnie jest już na ukończeniu część I-sza mej pracy, opartej na materjałach antropologicznych, zgromadzonych przezemnie w Paranie. Traktuje ona o wzroście, jego dziedziczeniu i zależności od nowego środowiska u ludności polskiej w Paranie.

Otrzymałem w zakresie cechy powyższej wyniki bardzo ciekawe, świadczące o rozwoju pomyślnym emigrantów polskich na terenie Parany.

(Z Instytutu Nauk Antropologicznych
Tow. Nauk. Warszawskiego).

X. J. GAWORZEWSKI, C. M.

Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo w Zgromadzeniu św. Wincentego.

„Pośród dzieł, które Misjonarzom naznacza bulla pap. Urbana VIII *Salvatoris nostri* oraz reguły wspólne, jest jedno, które, jak mi się zdaje jest przez nas zaniedbane, a tem jest Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia". Tak pisał ś. p. O. Gen. Fiat w okólniku z dnia 1 stycznia 1886 r.

Nie będę chyba dalekim od prawdy, jeżeli przytaczając te słowa, powiem, że i u nas, dziś jeszcze mogą być zastosowane. Prawdą chyba będzie, kiedy się powie, że tylko jednostki dziełem tem się zajmują, a jednak, w myśl naszych reguł jest to obowiązkiem ogółu robić, co można, aby Stowarzyszenie to rozszerzać i prowadzić.

Oto co mówią o tym obowiązku reguły wspólne:

„Ponieważ między innemi rzeczami, które Chrystus Pan czynił i które często zalecał tym, których powoływał do winnicy swojej, jedna z najprzedniejszych była, staranie około chorych, zwłaszcza ubogich i owych nawiedzanie, dlatego Kongregacja będzie miała osobliwe staranie, chorych tak domowych, jako za zezwoleniem starszego i obcych nawiedzać i ratować, tak duchownym, jako cielesnym, kiedy będzie można wspomagać ich posiłkiem, zwłaszcza podczas Misji, a oprócz tego, osobliwego przykładając starania, w fundowaniu i nawiedzaniu Bractwa miłosierdzia" (rozdz. VI, § 1).

Konwent generalny z roku 1668, omawiając sprawę Misyj, łączy z nią i sprawę Bractw miłosierdzia, uchwalając, że kiedy chodzi o założenie lub odwiedzenie Bractwa miłosierdzia, to ma się to stać kosztem naszych domów.

To samo myślał i Konwent generalny z r. 1849. W dyrektorjum Misyj, które ten Konwent przejrzał i zatwierdził, poleca Dyrektorowi Misyj, by nie zapomniał, iż w myśl św. Wincentego, owoc Misyj będzie o tyle zabezpieczony, o ile założy się w parafji Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia dla odwiedzania i wspomagania ubogich chorych. Dyrektor Misyj ma użyć swego wpływu na czynniki decydujące, aby to Stowarzyszenie założyły, nadto ma powiedzieć kilka instrukcyj i spowodować zebranie w tym celu, oczywiście za zgodą i aprobatą X. Proboszcza [1]). Wiadomo także, jak Papież socjalny Leon XIII nalegał, by nakłonić Stowarzyszenia, mające za cel wspieranie ubogich i polecił w szczególny sposób Towarzystwo (Konferencje) św. Wincentego [2]).

Również Konwent generalny z r. 1902 ponawia nalegająco, aby zająć się szczerze i gorliwie zakładaniem i utrzymaniem Stowarzyszenia Pań Miłosierdzia. O. Gen. Fiat publikując uchwały Konwentu, pisze w tym celu osobny okólnik, z dnia 15 września 1902 r., w którym przypomina, że zajęcie się szczere Stowarzyszeniem Pań Miłosierdzia, wymaga od nas cześć dla św. Wincentego, duch naszego powołania i interes ubogich.

Siostry Miłosierdzia wiedzą też dobrze, jak św. Wincenty wyłuszczał im za życia swego współpracę ze Stow. Pań Miłosierdzia. Rozdział ich reguł p. t. „Reguły szczególne dla Sióstr po parafjach umieszczonych" mówi im szczegółowo, jak ta współpraca w praktyce ma wyglądać. Stosunek i współpracę Sióstr Miłosierdzia ze Stow. Pań Miłosierdzia wyłuszczyła Siostrom N. matka Gen. Lebrun w artykule zamieszczonym w „Echo de la maison - mère" [3]).

Powszechnie też wiadomo, jak obecny Papież Pius XI gorąco wzywa do dzieł miłosierdzia. Encyklika *Quadrogesimo anno* oraz *Nova impendet* [4]) z dnia 2 października 1931 roku są tego dowodem.

Godzi się zatem, aby zająć się, w myśl tych głosów, dziełem, które zleciła nam Opatrzność, wiążąc je z naszem powołaniem.

---

[1]) Por. *Manuel de Missions*, chap. V, § 2, n. 8.
[2]) Encykl. *Humanum genus*.
[3]) Rok 1932, nr. 2, str. 24.
[4]) *Acta apost. sedis* r. 1931, II 393—397.

Cóż więc należy czynić? Zanim praktycznie się weźmiemy do pracy, należy wprzód teoretycznie do tego zajęcia się uzdolnić, a zatem należy gruntownie przestudjować historję dobroczynności Kościoła, czyli, jak się dziś mówi, akcji charytatywnej wogóle, a działalności św. Wincentego w szczególności. Trzeba dobrze przytem zrozumieć istotę akcji charytatywnej, jej rozciągłość i wszelkie formy i systemy. Dziś przy ożywianiu się wogóle akcji katolickiej, pole charytatywne najwięcej budzi zainteresowania. Trzeba dawać wskazówki, pouczenia, bo jakkolwiek trochę się o tem pisze a więcej mówi, mało takich. którzyby tę sprawę głębiej rozumieli. W myśl więc naszego powołania a więc i posłannictwa powinniśmy innym na tem przynajmniej polu przodować.

Dla uzupełnienia tych uwag załączam słów parę o stanie Stow. Pań Miłosierdzia w Polsce.

Mimo dużych trudności, płynących z wielu stron, stan Stow. Pań Miłosierdzia w naszym kraju jest dość pomyślny i zajmuje jedną z pierwszych pozycyj w całym świecie.

Wszystkich Stow. Pań Miłosierdzia w Polsce za rok 1931 liczymy 418. Mając na uwadze, że w ciągu roku 1932 przybyło 20—30, nie pomylimy się, jeżeli przyjmiemy liczbę Stow. P. M. w Polsce 450. Podobno tylko we Włoszech jest liczba Stow. P. M. większa, bo zgórą 500, choć faktycznie do zjednoczenia, które się tam dokonało w roku 1932, zgłosiły się tylko 353 Stowarzyszenia [1]).

Członków czynnych liczą Stow. P. M. w Polsce 6.867, wspierających 28.167, razem zatem pracuje ich zgórą 35 tysięcy, a mając na uwadze, że wiele Stowarzyszeń (w samem Poznańskiem 22) nie nadesłało na czas sprawozdania, przypuszczać należy, że liczba członków dochodzi do 40.000.

Stowarzyszenia te opiekowały się 27.573 rodzinami ubogich, a nadto znaczną liczbą ubogich samotnych. Stowarzyszenia te wydały na ubogich w 1931 r. 1,537.550 zł. 73 gr.

Dorobek to pokaźny, jednakże, ze względu na straszne ubóstwo społeczeństwa wogóle i potrzeby sfer ubogich, zawsze za mało.

---

[1]) Por. *Annali della caritá* (parta seconda), str. 164.

X. DR. STANISŁAW KALLA.

Dom chełmiński w świetle kroniki domowej.

Ks. Sup. Łukasz Rochon (1699–1718).

(Ciąg dalszy).

Niedługo po wizytacji kanonicznej X. Biskupa Potockiego, opisanej powyżej [1]) spadła wielka przykrość na Dom chełmiński, a powodem jej był członek Zgromadzenia, X. Jan Grylewicz, rodem z Chełmna. Przysłany z Warszawy celem załatwienia spraw rodzinnych, namówił swego małoletniego siostrzeńca, by wszczął proces o kamienicę z wielce poważanym obywatelem, Szmitthem, twierdząc, że kamienicę tę nieprawnie od jego ojca nabyto. Sąd w obecności X. Biskupa i X. Wizytatora Tarły rozstrzygnął spór na korzyść Szmittha. X. Grylewicz wyrok na pozór przyjął, w rzeczywistości zaś przy pomocy jakiegoś jurysty, zajętego przy Kurji biskupiej, wniósł protest w sądzie w Świeciu. Na wieść o tem X. Biskup ogromnie się oburzył na X. Wizytatora i Misjonarzy chełmińskich, posądzając, że oni byli właściwymi sprawcami protestu i mimo tłómaczeń, mimo wyjaśniającego listu X. Wizytatora, przy każdej sposobności dał odczuć swe niezadowolenie, a najwięcej się dostało naturalnie X. Superjorowi. Jeszcze większem oburzeniem zawrzał, kiedy wpadły w ręce jego dwa listy X. Grylewicza, pisane do szwagra, w których go uspokaja, obiecując pomoc w razie jakiegokolwiek prześladowania. X. Biskup, widząc w nich pogróżkę, zwróconą przeciwko sobie, rozkazał je razem z kopją protestu spalić publicznie przez kata pod pręgierzem. By ratować Zgromadzenie i X. Wizytatora, którego pieczęciami listy były zaopatrzone, przed ciężkiem zniesławieniem, udali się Misjo-

[1]) Por. Roczniki obydwóch Zgromadzeń, r. 1932, str. 171—174.

narze chełmińscy z prośbą do X. Biskupa o cofnięcie wyroku i uzyskali tyle, że tylko protest spalony został przez kata pod „hakém". Dotkliwe kary spadły na krewnych X. Grylewicza. Mimo przysięgi, że nic nie wiedziali o proteście, skazano ich na konfiskatę majątku i na wygnanie z miasta, a tego, który towarzyszył siostrzeńcowi z protestem do Świecia, ponadto na ucięcie prawej ręki i na rok więzienia. Trzeba było znów licznych starań i zabiegów z różnych stron, by powstrzymać wykonanie wyroku i ratować skazanych.

Tymczasem X. Grylewicz, wróciwszy do Warszawy, znów bez wiedzy X. Wizytatora, udał się ze skargą na X. Biskupa do nuncjatury, o czem nuncjusz, jak i o zamierzonej skardze w Rzymie, doniósł X. Biskupowi. „O dobry Boże, — pisze kronikarz — ileż to znów przykrości spadło na Misjonarzy ze strony obrażonego X. Biskupa". Z Misjonarzami nawet mówić nie chciał, skarżył się na nich przed wszystkimi, nazywając ich buntownikami, wreszcie wyjechał do Warszawy, gdzie X. Grylewicza zmuszono do oświadczenia na piśmie, że protest jego nie był zwrócony przeciw sądowi biskupiemu, lecz przeciw Szmitthowi, a miał za cel ułatwienie siostrzeńcowi odzyskania drogą legalną majątku. Wydalony następnie ze Zgromadzenia, zażądał X. Grylewicz zwrotu 500 fl., które był zapisał kościołowi chełmińskiemu jako fundację na rzecz kaznodziei popołudniowego. Nuncjatura, zapytana w tej sprawie, oświadczyła, że pieniądze mu się nie należą, jednak X. Wizytator polecił, by wreszcie skończyć z tak niespokojnym człowiekiem, zwrócić mu całą sumę razem z procentami [1]).

Przykre te i szczególniej dla Domu chełmińskiego bolesne wypadki dają kronikarzowi sposobność do wypowiedzenia kilku gorzkich słów pod adresem tych, co zanadto zajmują się krewnymi. „Ileż to szkód i zamieszania spowodować może — powiada — niekarność i zbytnie przywiązanie do krewnych jednego człowieka. Oby takich nigdy już nie było wśród nas. Słusznie

---

[1]) Zapewne od tych wypadków datuje się niechęć X. Biskupa Potockiego do Misjonarzy, dotąd tak dla nich życzliwego, niechęć, która jaskrawe przybrała formy, kiedy, zostawszy w r. 1723 Prymasem, chciał im odebrać Seminarja w Gnieźnie i Łowiczu. Por. pracę X. W. Szymbora: „Trzy lata w życiu X. Śliwickiego", R. O. Zgrom., r. 1909—1910, str. 39—41, r. 1910.

głosi Mądrość odwieczna: „Kto kocha ojca lub matkę więcej niż mnie, nie jest mnie godzien“. Jakże strzec się trzeba uczniom Chrystusowym, by nie mieszali się do rzeczy światowych“ [1]).

Cios, jaki spotkał Dom chełmiński, był tem dotkliwszy, że prawie równocześnie, dnia 10 grudnia 1700 r., zmarł w Chełmży jeden z najszczerszych przyjaciół Misjonarzy, a zwłaszcza Domu chełmińskiego, Biskup-sufragan chełmiński, X. Tomasz Bogorja Skotnicki. Powszechnie, w całej Polsce, szanowany dla swej wiedzy i cnoty, kochany przez duchowieństwo i lud, był on szczególniejszym czcicielem Cudownej Matki Boskiej Chełmińskiej, często, a zwłaszcza w większe uroczystości odprawiał przy Jej ołtarzu nabożeństwo, głosił kazania. Misjonarzy szczerze kochał i szanował, pilnie się interesował ich sprawami, cieszył się ich powodzeniem, podnosił na duchu w razie niepowodzenia, bronił, tłómaczył błędy, za zmarłych odprawiał Msze św. „Mieliśmy w nim i stracili prawdziwego ojca“ — powiada kronikarz. Pamiętał o Misjonarzach także w testamencie, uczynił fundację na misje a Dom chełmiński częściowym spadkobiercą majątku, wykonawcą zaś testamentu uczynił między innymi także X. Sup. Rochona. Po pogrzebie w Chełmży urządzili Misjonarze uroczyste nabożeństwo u siebie, zapraszając na nie duchowieństwo i lud. Co roku miał się nadto odprawiać aniwersarz w kościele chełmińskim [2]).

Wielką troskliwością otacza X. Rochon kościół, starając się o dalsze jego przyozdobienie, i parafję, którą pragnie postawić jak najwyżej. Była już mowa o fundacji nowego ołtarza do kaplicy Matki Boskiej [3]). W r. 1700 ołtarz ten pozłocono, kaplicę wymalowano, co razem kosztowało przeszło 700 florenów. Koszta pokryto ze składek i z darów X. Biskupa i jego krewnych, obecnych na ingresie [4]).

Cudownemu Obrazowi przybyła nowa ozdoba w postaci ośmiu srebrnych tablic wotywnych, umieszczonych dookoła niego. Fundatorem pierwszej był X. Biskup Potocki, drugiej X. Biskup-sufragan Skotnicki, trzeciej X. Szczuka, Kanonik chełmiński, czwartej

---

[1]) Kron., str. 89—92.

[2]) Kron., str. 97.

[3]) R. O. Z., r. 1932, str. 168.

[4]) Kron., str. 93.

obywatele Chełmna, piątej i szóstej wspomniany już fundator nowego ołtarza kaplicy, Marszowski wraz z małżonką, siódmej X. Grylewicz, misjonarz, ósmej marszałek Dworu biskupiego, Nicz. Osobną, dziewiątą tablicę, fundował w czasie wizytacji X. Wizytator Tarło imieniem istniejących już wówczas siedmiu Domów Zgromadzenia w Polsce, mianowicie: warszawskiego, chełmińskiego, krakowskiego na Zamku, stradomskiego, przemyskiego, łowickiego i wilneńskiego [1]).

Bardzo uroczyście odbyło się oddanie tablicy, fundowanej przez miasto. O godzinie 8 rano zgromadzili się rajcy i ławnicy miejscy wraz z urzędnikami w ratuszu, skąd parami wyruszyli do kościoła. Dwóch rajców niosło na pięknie haftowanej, jedwabnej tkaninie tablicę, przed i za nimi szło czterech innych z gorejącemi pochodniami. Przy wyjściu z ratusza, w chwili wkraczania do kościoła i przy składaniu tablicy w ręce Proboszcza, oddano salwy. Przy oddawaniu wygłosił burmistrz, p. Proppe, mowę, wyliczaiąc dobrodziejstwa, jakie miasto odebrało przez ręce Matki Najśw.

Tego samego dnia, w sposób również uroczysty, w obecności całego kleru, oddał w imieniu X. Biskupa Potockiego tablicę wotywną X. Sołtyk, późniejszy Kanonik chełmiński [2]).

Dla większej wygody usunięto kratę, otaczającą ołtarz Matki Boskiej, używając jej do przegrodzenia chóru mniejszego od większego, by oddzielić lud od duchowieństwa [3]).

W miarę posiadanych środków zakupywano wiele innych potrzebnych rzeczy, jak nowe obicie dookoła wielkiego ołtarza, nową kapę z Warszawy, różne sprzęty do zakrystji i t. d. [4]).

Dla kościoła w Fiszowie sprawiono srebrny pozłacany kielich, kapę, bieliznę kościelną, obrazy i t. d. Zamiar zaopatrzenia kościoła w zegar nie udał się, najpierw wskutek niechęci parafjan, a potem wojny. Nie udało się też wskutek nieprzyjaznych stosunków między Polską a Brandenburgją wydostać z archiwum królewieckiego aktu erekcji kościoła fiszowskiego, potrzebnego do obrony własności kościelnej [5]). (C. d. n.)

---

[1]) Kron., str. 93—94. [2]) Kron., str. 94. [3]) Kron., str. 95.
[4]) Kron., str. 95. [5]) Kron., str. 95—96.

Pożegnanie Misjonarzy.

Mam na myśli tych Misjonarzy, którzy w kwietniu ubiegłego roku wyjeżdżali do Chin.

Była to przedewszystkiem uroczystość keścielna, bo w kościele pragnęliśmy uprosić łask jak najwięcej dla tych, którzy udawali się w tak dalekie kraje, na tak zbożne żniwo. W kościele naszym na Stradomiu dnia 3 kwietnia odbyła się uroczystość. Mszę św. z wystawieniem Najśw. Sakramentu celebrował X. Kurtyka. Diakonem był X. Ciemała. Obaj pojadą wkrótce do Chin. Miał być w asyście i trzeci kandydat do Chin X. Grzeliński. Ale zastępuje go przy ołtarzu kleryk Warkocz. Wierni w kościele bardzo licznie, nadspodziewanie licznie zgromadzeni, widocznie są przejęci chwilą. Zdają sobie sprawę z ważności momentu. Odczuwają to jako niepowszedni wypadek. W stalach nasi klerycy stradomscy, na obydwu chórach są klerycy kleparscy, seminarjum częstochowskie, klerycy pijarscy i t. d. Dzisiejsza msza jakgdyby ułożona była specjalnie dla uroczystości *Quasi modo geniti infantes*. Kiedy zaś po podniesieniu śpiewano *Benedictus*, wszyscy odnosili śpiewy do tych, którzy są teraz u ołtarza, a za parę dni pójdą w imię Pańskie, „błogosławiony, który idzie w imię Pańskie. Hosanna na wysokościach". Urokowi ulegali nietylko obecni, ale i tacy, którzy zdala od nas słuchali śpiewów przez radjo. Krakowskie radjo nadawało to święto, a radjo warszawskie transmitowało do wszystkich rozgłośni. Zresztą zobaczymy.

Interesowały się wyjazdem Misjonarzy i szersze koła. Dowodem tego pisma. I tak n. p. pisze „Głos Narodu" z dnia 4-go kwietnia 1932 r.:

Misjonarze polscy jadą do Chin.

Wczoraj w niedzielę w kościele XX: Misjonarzy na Stradomiu odbyło się uroczyste nabożeństwo na intencję Misjonarzy,

wyjeżdżających w tych dniach na placówkę misyjną w Chinach. Mszę św. celebrował kierownik grupy wyjeżdżających X. Dr. Paweł Kurtyka w asyście XX. Grzelińskiego i Ciemały. Podniosłe kazanie wyglosił X. superjor Wilhelm Szymbor. X. Superjor skreślił podłoże idei misyjnej przedstawiając ją jako istotną treść działalności Kościoła Katolickiego, która wynika z ogólnego charakteru dzieła Odkupienia i jest wypełnieniem rozkazu Chystusa Pana: „Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody". Kazanie zakończył X. superjor uwagą o znaczeniu wyjazdu Misjonarzy do Chin z Polski, która przed niedawnym jeszcze czasem nie posiadała tam ani jednej płacówki misyjnej.

W czasie nabożeństwa, które było transmitowane przez radjo na całą Polskę, połączone chóry pod batutą X. Świerczka i Wallek-Walewskiego wykonały szereg śpiewów gregorjańskich i polifonicznych. Na podkreślenie zasługuje gregorjańskie „Graduale".

Po Mszy św. w jednej z sal Domu XX. Misjonarzy odbył się pożegnalny poranek w gronie samych księży. Wśród obecnych zauważyliśmy: X. wizytatora Kryskę, X. superjora Janiewskiego, Przełożonego Małego Seminarjum XX. Misjonarzy. X. superjora Szymbora, X. dyrektora Sem. Misj. Jęczmionka i X. dra H. Króla. Na program złożyły się: „Król Midas" Eilenberga, wyjątki z pierwszej i drugiej części „Eliasza" Mendelsona, „Les adieux a la patrie" Ogińskiego, „In viam pacis" B. Wallek-Walewskiego i „Farandola z Arlezanki" G. Bizeta, wykonane przez chór oraz orkiestrę kleryków Misjonarzy. Odjeżdżających pożegnał X. wizytator Kryska, zachęcając do pracy misyjnej, w imieniu zaś konfratrów przemówił do odjeżdżających jeden z kleryków. Odpowiedział im kierownik grupy misyjnej X. dr. Kurtyka, wyrażając nadzieję, że polskie placówki misyjne w Chinach powiększać się będą z każdym rokiem. Wspólna fotografia zakończyła pożegnalną uroczystość.

Wyjeżdżająca grupa misyjna składa się z osób: X. dr. Pawła Kurtyki, X. Józefa Grzelińskiego i X. Wilhelma Ciemały oraz dwu braci: Cieplaka i Prynca. Wszyscy jadą do miejscowości Wenchow (Lenciou) w Chinach południowych, by tam założyć drugą polską placówkę, która obejmować będzie 22 tysiące chrze-

ścijan i dwa miljony pogan. Na czele całego wikarjatu stoi X. biskup Andrzej Defebre, rezydujący w Ningpo, a na terenie tym pracują obecnie księża francuscy oraz 3 Misjonarzy Chińczyków i 10 świeckich księży chińskich.

Pierwsza grupa misyjna w ilości 6 osób wyruszyła z Polski w 1929 roku i rozwija obecnie swą gorliwą działalność w Siunte-fu (Shuntehfu) w środkowych Chinach, zasilona w 1930 roku przez drugą grupę, złożoną z czterech XX. Misjonarzy.

Mieczysław Babiński.

Definitywny odjazd z Krakowa nastąpił 19 kwietnia 1932 r. pociągiem wieczornym o godzinie 20·10. Odjechali do Poznania X. Grzeliński, X. Ciemała, brat Cieplak i brat Prync, by stamtąd jechać dalej na Paryż, Marsylję do Chin. (X. Kurtyka już dnia poprzedniego wyjechał do Poznania, bo miał jeszcze sprawę bagaży do załatwienia). Na stacji było wielu księży z krakowskich naszych Domów. Przed odjazdem pociągu jeszcze przybył X. superjor Janiewski z wychowankami Małego Seminarjum. Chłopcy przyszli z orkiestrą i dużo nastroju dodali w chwili pożegnania.

Nazajutrz pisał „Czas“ z dnia 20 kwietnia 1932 r.:

Polscy Misjonarze w Chinach.

Dziś 19 b. m. odjechała grupa Misjonarzy polskich do Chin. Była to już trzecia grupa Misjonarzy w stosunkowo bardzo krótkim czasie z tego samego Zgromadzenia XX. Misjonarzy św. Wincentego z Krakowa. Pierwsza grupa wyjechala z Polski 4-go listopada 1929 r. Było w niej: dwu księży, X. Ignacy Krauze, obecny przełożony misji w Shuntehfu i X. Antoni Górski, trzech kleryków: Franciszek Stawarski, Wacław Czapla i Stanisław Kotliński, którzy w Chinach, w Seminarjum Kashing skończyli studja teologiczne i obecnie już są księżmi oraz brat Stanisław Fedzin. Druga grupa wyruszyła z Krakowa 10 listopada 1930 r. Na jej czele stał X. dr. Wacław Szuniewicz, towarzyszyli mu X. Marcin Cymbrowski, kleryk Jan Redzimski i brat Stanisław Fasula. X. Szuniewicz jest doktorem medycyny, był okulistą bardzo cenionym w Wilnie. W dojrzałym wieku wstąpił do Zgromadzenia XX. Misjonarzy, w Krakowie odbył studja teologiczne i po ich ukończe-

niu udał się do Chin, gdzie w Shuntehfu założył medyczną stację misyjną, jako pierwszy Polak medyk w misjach chińskich. Razem z nim pracuje X. Cymbrowski, który w Polsce ukończył kurs dentystyki i tam ten zawód wykonuje.

Obie grupy osiadły w północnych Chinach w Shuntehfu, w wikarjacie apostolskim w Szentingfu. Jest to ogromny wikarjat, na czele którego stoi X. biskup Schraven. Na terenie wikarjatu oddanego Zgromadzeniu XX. Misjonarzy św. Wincentego jest 5 miljonów ludności, 58.862 chrześcijan, 61 księży, 55 braci, 163 zakonnic i 31 kleryków w Seminarjum chińskiem, 179 szkół, 4.264 uczniów. Wskutek silnego impulsu, jaki encykliki Benedykta XV i Piusa XI dały sprawie misyjnej, młody ruch misyjny udzielił się polskiej prowincji XX. Misjonarzy i już 10 członków tego Zgromadzenia w dwu grupach wymienionych pracuje w Chinach. Z wikarjatu Szentingfu w najbliższym czasie wydzielony będzie nowy wikarjat z siedzibą w Shuntehfu i ten nowy wikarjat należeć będzie do polskich XX. Misjonarzy. jako ich wyłączne pole pracy. To w północnych Chinach.

Trzecia grupa XX. Misjonarzy: X. dr. P. Kurtyka, X. Józef Grzeliński, X Wilhelm Ciemała, brat Stanisław Cieplak i brat Władysław Prync, (X. Kurtyka od ostatniej chwili był przełożonym na Kleparzu, ks. Grzeliński profesorem w Małem Seminarjum na Nowej Wsi, a X. Ciemała dopiero co wyświęcony), wyjechała dziś 19 b. m. na placówkę misyjną w Wenchow w południowych Chinach. Terytorjum misyjne tej polskiej grupy jest w obrębie wikarjatu apostolskiego Ningpo, na którego czele stoi X. biskup Andrzej Defebre. Położenie geograficzne to samo co Kair w Egipcie. Wenchow jest chińskim portem nad Oceanem Wielkim. Cały wikarjat Ningpo ma obecnie 10 miljonów ludności. 45.682 chrześcijan, 26 księży europejskich, 41 księży narodowości chińskiej, 120 sióstr zakonnych, 22 kleryków chińskich w Seminarjum diecezjalnem. Księża europejscy są wszyscy ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy św. Wincentego. Miasto Ningpo ma 305.000 mieszkańców.

W tym właśnie wikarjacie będzie przeprowadzony nowy podział. Polscy Misjonarze z Krakowa osiędą w Wenchow. Narazie prowadzić będą misję chińską wspólnie z dawniejszymi Mi-

sjonarzami miejscowymi, których jest sześciu. Ale po zaznajomieniu się ze stosunkami, z wikarjatu apostolskiego Ningpo wydzielony zostanie odrębny wikarjat samodzielny Wenchow, obsługiwany przez Misjonarzy polskich. Prawdopodobnie obejmować będzie połowę dzisiejszego wikarjatu Ningpo z liczbą 5 miljonów pogańskiej i 22 tysięcy chrześcijańskiej ludności.

Ningpo ma własne wielkie Seminarjum duchowne z 22 klerykami chińskimi i również Małe Seminarjum. W Wenchow do najpilniejszych zadań naszych polskich Misjonarzy tak samo należeć będzie oprócz misyj i prac zaczętych, również założenie Wielkiego i Małego Seminarjum w myśl życzeń Stolicy Apostolskiej dla powołań krajowych chińskich. Dotąd „Czas".

Ale wspomniałem o tych, którzy zdala od nas, zdala od kościoła naszego słuchali śpiewów przez radjo i brali szczery udział w uroczystości.

Oto taki uczestnik z nad Renu, z Kolonji[1]).

Przed kilku tygodniami siedziałem przy aparacie i słuchałem rannego nabożeństwa. Nabożeństwo się skończyło. Aparat milczał. Rzuciłem okiem na program, aby czegoś poszukać. Zdziwiłem się. A to co? Oczy moje zatrzymały się na wyrazie „Misjonarze". Co to? Czytam: „Nabożeństwo z kościoła XX. Misjonarzy z Krakowa, transmisja przez Warszawę; nabożeństwo z okazji wyjazdu Misjonarzy do Chin". Prędko nastawiłem falę 1412. Warszawska 158 kilowatowa stacja nadawcza wyraźnie podała nabożeństwo z Krakowa. Doznałem dziwnego wrażenia. Nasi polscy bracia odprawiali w Polsce nabożeństwo, a ja, o 1000 km od nich oddalony, brałem w niem udział pobożny. W całej pełni uświadomiłem sobie, że jestem członkiem wielkiej rodziny św. Wincentego, rozsianej po całym świecie.

Słuchałem nabożeństwa i kazania. Słowa kazania były dla mnie niezrozumiałe. Nie rozumiałem ich. Ale odgadywałem, co odczuwali uczestnicy tej uroczystości misyjnej, kiedy natchnionych słów mojego konfratra słuchali nabożnie.

Najpiękniej wyszły śpiewy. Chorał dnia śpiewano i to tak, że wszystko można było zrozumieć, że uchwycić było można

[1]) Sankt Vinzenz. str. 157. Köln. Lipiec †932.

każde słowo i nutę każdą. Ile to piękna w tych prastarych, wspaniałych śpiewach graduału rzymskiego! My synowie św. Wincentego uprawiamy z pietyzmem chorał idąc w tem za dawną tradycją Zgromadzenia. Nawet w największe święta jest chorał najpiękniejszą ozdobą uroczystego nabożeństwa. Starannie wyćwiczony i wzorowo oddany przewyższa on wszystkie śpiewy polifoniczne potęgą, przenikliwością, pięknością. Coraz liczniejsze koła uprawiają dziś ten śpiew tak dawny i tak rdzennie kościelny. Cieszymy się szczerze, że przez śpiewanie pięknego chorału w naszych kościołach i kaplicach prócz chwały Bożej szerzymy zrozumienie dla chorału. Święto transmitowane z Polski było może dlatego tak piękne, że tam chorał wyszedł tak doskonale.

O błogosławieństwo dla Misjonarzy w Chinach modlili się ci, którzy byli w kościele w Krakowie, modlili się też i ci, którzy zbliska i zdaleka uczestniczyli w nabożeństwie przez radio.

X. dr. M. SZKOPOWSKI.

Kościół św. Krzyża w Warszawie [1]).

Jeszcze za czasów panowania Piastów, ale już w ostatnich chwilach udzielności Mazowsza, stał na drodze krakowskiej mały drewniany kościółek, którego ślady już widzimy w 1512 r. Podczas, gdy w mieście panowie budowali kościoły, na przedmieściach sami mieszczanie musieli o służbie bożej myśleć. Gdy już przeto oddalona parafja św. Jana nie wystarczała, wzięły się do sprawy pobożne mieszczki. A to radczyni wdowa Moellerowa, a to jej dwie wnuczki krawcowa i klucznikowa sprawiły, że i kapelan stały się znalazł i kościółek murowany stanął, a nie bez znaczenia też była i ofiara Anny, księżnej Mazowieckiej. Wziął pod opiekę kościółek św. Krzyża biskup poznański, Jan, do którego należała Warszawa i pierwszym proboszczem mianował X. Jędrzeja Lubańskiego.

Aż do czasów Zygmunta III opiekę nad kościołem sprawowali i procesy liczne o granice beneficium prowadzili mieszczanie przez przeszło sto lat. Do kościółka przybudowano dwie kaplice w 1615 r., a w 1626 r. stał on się parafjalnym. Przyłączono jurydyki: Kałęczyn (Nowy Świat), Grzybów, Leszno i Bożydar, a na Krakowskiem Przedmieściu parafja sięgała aż do Dziekanki (dom za pomnikiem Mickiewicza). Mieszczka warszawska, Anna Wolfowa, ufundowała szpital dla chorych na sześć osób (1572 r.), a na drugich sześciu dał fundusz lekarz królewski, Wojciech Oczko. O kościele w 1643 r. Adam Jastrzębski pisze, że kościół ma kapliczki na krzyż, wewnątrz polerowanem czarnem drzewem wysadzone, cmentarz obszerny, szpital, szkołę, dzwonnicę, wszystko oparkanione, dalej figury apostołów, Chrystus Pan na krzyżu i pod nim płaczące figury.

---

[1]) Kurjer Warszawski z 4 XII. 1932 str. 15—16.

Królowa Ludwika Marja, Francuska, dużo rzeczy ze swojej ojczyzny do nas przeszczepiła. Znała i czciła (jak zresztą cała Francja) św. Wincentego a Paulo i jego dwa zakony Misjonarzy i Szarytek, a pozatem i Wizytek do Polski sprowadziła. W 1652 r. przyjechał na zwiady X. Lambert, misjonarz, i zdał swojej starszyźnie jak najlepszą relację: „Powietrze — pisał — jest tu zimniejsze ale zato zdrowsze. Niema kanarków, ale niema i chorób. Rany niewyleczone we Francji, w Polsce wyleczyć łatwo. Zima cierpka, ale nie tak nudna, jak we Francji, a piece w budowlach i futra na ulicach grzeją. Polska jest jednym z najbogatszych i najpiękniejszych krajów". I dziś podobne listy, szczególnie o piecach i futrach piszą do domu nasi goście i przyjaciele.

Za sprawą i na prośbę królowej ostatni świecki proboszcz X. Zejdlic i patronowie kościoła zrzekli się swoich praw i przybyli z Francji zakonnicy 1653 r. zostali wprowadzeni we władanie kościołem i parafją św. Krzyża. co im królowa nadała. Długi czas nazywano Misjonarzy u nas Francuzami. Jak polecał w nadaniu X. biskup, ks. Czartoryski, mieli oni uczyć lud wiary, słuchać spowiedzi z całego życia, kłótnie godzić, biednych wspierać i t. p.

Zbliżała się nawała szwedzka. Misjonarze myśleli, że jako cudzoziemców, wrogowie oszczędzą. Gdy nieprzyjaciel po raz drugi wdarł się do Warszawy, żołnierze rzucili się na kościół Świętokrzyski. Przełożony, X. du Perroy miał do nich mowę. To miało taki skutek, że znudzeni żołdacy rzucili się na niego i tak pobili, że byłby umarł, gdyby mu z ratunkiem nie pośpieszyły poczciwe babiny z przedmieścia. Kościół zniszczony, nędzny przedstawiał widok. Misjonarze pomyśleli o odbudowie.

Historja nowego kościoła lepiej jest znana i z racji przypadającego w tym roku 250-letniego jubileuszu pisał o tem „Kurjer Warszawski" dnia 1 kwietnia r. b.

Król Jan III Sobieski bardzo się przyczynił do tej budowy, gdyż przemieszkując często w pałacu Kazimierzowskim (obecnie uniwersytet) za parafjanina tej parafji się uważał.

Dnia 1 kwietnia 1682 r. królewicz Jakób Sobieski położył kamień węgielny pod budowę nowego kościoła. Sławny budowniczy, Józef Bellotti, według własnych planów budował dolny i górny kościół na szeroką miarę zakrojony przez lat czternaście.

Wielkie zasługi około budowy, która kosztowała 800 tys. złotych, położył jeden z nawybitniejszych Misjonarzy w Polsce, pierwszy przełożony i wizytator Polak, późniejszy biskup poznański, X. Bartłomiej Tarło, Uroczyste poświęcenie odbyło się 1696 r., choć dalsze wykańczanie i urządzenie wewnętrzne trwało do 1757 r.

Ten to Tarło uspokoił niesnaski, które trwały pomiędzy dwoma kościołami i zakonami. Obok kościoła św. Krzyża, gdzie dziś pomnik Kopernika, był klasztor Dominikanów Obserwantów, a przy nim bractwo różańcowe, które z bractwem św. Rocha przy kościele św. Krzyża nieustanne spory wiodło o pierwszeństwo, porządek i t. d. Do tych sporów wtrącali się gospodarze i Misjonarze z Dominikanami nieustannie się wadzili i do konsystorza na sądy prowadzili, tembardziej, że pierwsi aż do Tarły proboszczowie Francuzi z prawdziwie południowym temperamentem rej wodzili na całem Krakowskiem Przedmieściu i dla możnej protekcji dwu królowych rodaczek wysoko głowę nosili.

Bardzo zasłużony dla kościoła był też uczony Misjonarz, pomocnik Konarskiego, X. Piotr Śliwicki. Jego staraniem między 1726 a 1754 r. słynny budowniczy Fontana wystawił dwie wieże, na prawej umieścił zegar (1765 r.), cztery dzwony i sygnaturkę. Zamiast kopuły projektowanej, która, według zdania budowniczych, mogła osłabić mury, postawiono wielki krzyż złocony. Opiekował się założonym w 1708 r., a przeniesionym w 1749 r. do obecnego gmachu, szpitalem św. Rocha. W jego też oczach powstawał założony przez X. Boduena, Misjonarza przy św. Krzyżu, szpital Dzieciątka Jezus.

W 1818 r., na miejsce dawnego karetowego podjazdu, dano nowy węższy. W 1858 r. ustawiono przed kościołem pomnik Chrystusa, dłuta Pruszyńskiego.

W 1864 r., po kasacie zakonów w zaborze rosyjskim, musieli Misjonarze kościół św. Krzyża opuścić, który przeszedł pod opiekę księży świeckich. Trzeba stwierdzić, że zawsze był starannie utrzymywany. Ostatnim proboszczem był nieodżałowanej pamięci X. arcybiskup Ruszkiewicz.

OO. Misjonarze wracają w 1918 r. i po śmierci X. Ruszkiewicza w 1925 r. obejmują parafję za pozwoleniem X. kardynała. Nowi proboszczowie rozwijają wielką działalność. X. Krauze

w 1927 r. sprawia nowe, wielogłosowe organy na miejsce starych z 1727 r., w 1928 r. obraz św. Teresy od Dzieciątka Jezus, dzieło Stachiewicza, dzwony, na miejsce zrabowanych przez Niemców i kryje dach miedzią, gdyż stary również zrabowali Niemcy. Obecny proboszcz, X. Lorek, w r. b. odnowił cały kościół łącznie z ołtarzami, sprawił bronzowe obrazy do stacyj i wprowadził w całym kościele ogrzewanie centralne gorącem powietrzem, według najnowszego systemu najoszczędniejszego, kosztem 25 tys. zł. Ogrzewanie kościoła, licząc 100 dni w roku, będzie kosztowało 800 do 1000 zł. rocznie. Jest to w dzisiejszych ciężkich czasach wielka zasługa, gdyż dało to pracę wielu ludziom.

Kościół św. Krzyża, w którym odbywały się najważniejsze uroczystości narodowe, z którym zrosły się nasze serca, w obecnej odnowionej szacie, przedstawia się wspaniale i w roku jubileuszu 250-ciu lat istnienia jest zawsze nam drogi.

KRONIKA.

Kraków, Stradom.

Skład osobowy dnia 1 stycznia 1933 r.:

		Urodz.	Powoł.	Na Strad.
1.	X. Wizytator Józef Kryska	1869	1887	1925
2.	X. Szymbor Wilhelm, sup.	1879	1896	1931
3.	X. Lewandowski Czesław (Prądnik)	1864	1884	1914
4.	X. Krzyszkowski Stefan (Chełmno)	1867	1886	1932
5.	X. Król Stefan, prok. prow.	1875	1893	1921
6.	X. Michalski Konstanty, prof. U. J.	1879	1896	1911
7.	X. Michalski Karol (Chełmno)	1881	1898	1930
8.	X. Kalla Stanisław, misje	1887	1905	1929
9.	X. Świerczek Wendelin (jako ojciec duch. w Sem. częstoch. w Krakowie), u nas prof. śpiewu gregor.	1888	1906	1930
10.	X. Jęczmionka Wacław, dyr. kler.	1886	1908	1932
11.	X. Baron Józef, prof. prawa	1895	1913	1931
12.	X. Rzychoń Karol (jako ojciec duch. w Sem. śląskiem w Krakowie), u nas prof. dogmat.	1894	1915	1926
13.	X. Kozłowski Wiktor	1897	1915	1932
14.	X. Pawellek Pius, redaktor	1895	1916	1922
15.	X. Willim Franciszek, prof. Pisma	1899	1917	1927
16.	X. Wiejaczka Józef, prof. Pisma	1901	1919	1931
17.	X. Chodura Jan, prokur.	1899	1919	1926
18.	X. Myszka Antoni	1897	1919	1932
19.	X. Śmidoda Franciszek, prof. hist.	1902	1920	1930
20.	X. Konieczny Alojzy	1904	1922	1929

21.	X. Stawinoga Władysław, prof. prawa	1906	1922	1931
22.	X. Giemza Władysław	1909	1925	1932
23.	X. Brzózka Wiktor	1907	1925	1932
24.	X. Karcz Wawrzyniec	1906	1925	1932
25.	X. Sitko Łukasz	1909	1925	1932
26.	X. Woźniacki Józef	1909	1925	1932
27.	X. Całka Kazimierz	1909	1925	1932

Na pozór to wielka ilość. Tymczasem trzech z wzwyż wymienionych konfratrów, należąc do Domu stradomskiego, mieszka poza Domem stale (X. Lewandowski, X. Krzyszkowski, X. Karol Michalski), a siedmiu czeka na odjazd na misje zagraniczne. X. Myszka Antoni pojedzie do Brazylji; XX. Giemza, Brzózka, Karcz, Całka, Sitko, Woźniacki, wyświęceni na kapłanów dnia 4 grudnia 1932 r., czekają na okręt do Chin.

Kleryków jest 16 na kursie IV, 15 na III, 19 na II, 21 na I. Razem więc 71. — Braci zaś mamy 18.

Kurs IV.

1. Warkocz Albert
2. Rzychoń Józef
3. Brandys Edward
4. Soppa Teofil
5. Ciszowski Stanisław
6. Wierzba Franciszek
7. Pitoń Jan
8. Morawski Władysław
9. Nowak Eugenjusz
10. Handzel Sebastjan
11. Grucel Alojzy
12. Szlęzak Antoni
13. Stępień Jan
14. Konieczny Stanisław
15. Szymański Kazimierz
16. Leja Augustyn

Kurs III.

1. Smietana Eugenjusz
2. Rudner Wilhelm
3. Zalewski Jan
4. Skowyra Kazimierz
5. Bracha Franciszek
6. Szarek Piotr
7. Krzyżak Franciszek
8. Kaczmarek Jan
9. Koczar Stanisław
10. Kulpa Alfons
11. Janiewski Juljan
12. Kołodziej Tadeusz
13. Wesołowski Józef
14. Pawlik Jan
15. Kiczuk Kazimierz

Kurs II.

1. Grabka Józef
2. Arciszewski Franciszek
3. Jachimczak Michał
4. Brzózka Feliks
5. Skorupiński Stanisław
6. Buchmann Ryszard
7. Szkróbka Alfred
8. Woroniecki Michał
9. Stankiewicz Walerjan
10. Rup Władysław
11. Ziomek Albin
12. Pierzchała Stanisław
13. Lasoń Andrzej
14. Olszak Stefan
15. Piekarski Władysław
16. Czerwiński Stanisław
17. Usowicz Aleksander
18. Kuczera Paweł
19. Paciorek Józef

Kurs I.

1. Krzysteczko Gothard
2. Bańkowski Władysław
3. Świerczek Wendelin
4. Ornaf Witold
5. Teodorowski Paweł
6. Bąba Franciszek
7. Szmaj Feliks
8. Jankowski Jan
9. Paszkiewicz Alfons
10. Stefanowicz Feliks
11. Walkowiak Józef
12. Kozłowski Bronisław
13. Schletz Alfons
14. Szymkiewicz Aleksander
15. Kowal Stanisław
16. Wieczorek Ignacy
17. Hamerski Franciszek
18. Mielechowski Jakób
19. Piórkowski Józef
20. Rafałowski Władysław
21. Sawicki Henryk

NB. X. dyr. Jęczmionce powierzył X. Wizytator kierownictwo propagandy na rzecz naszej misji w Chinach.

Zakład im. X. Siemaszki.

Dzięki opiece św. Wincentego, dzięki pomocy Najczcigodn. X. Wizytatora duchowej zawsze, a w ciężkich chwilach decydujących i materjalnej, oraz pomocy licznych przyjaciół wśród władz i szerokiej publiczności, Zakład im. X. Siemaszki nie skurczył swych agend miłosierdzia mimo ciężkiej pracy. Jakkolwiek Zarząd Zakładów mocno czuje ciężar ogólnego kryzysu, to jednak młodzież jeszcze o nim nic nie wie i oby przy pomocy Bożej go wcale nie odczuła. Ilość biednych chłopców utrzymuje się stale ponad

czterysta. Byłoby miejsca jeszcze dobrze na setkę, ale brak urządzenia. Byłby i chleb dla takiej ilości, ale konieczność spłaty jeszcze licznych długów budowlanych i pożyczek zmusza do ograniczenia liczby wychowanków bezpłatnych.

Czerna. Liczba dzieci blisko sto czterdzieści. Praca z zakresu czterech klas powszechnych. X. Prefekt Stanisław Kałężny troszczy się z całym zapałem o dobro swej małej gromadki. Głównym jego staraniem to utrzymanie wśród dziatwy nastroju rodzinnego, opartego na dziecięcem zaufaniu do Przełożonych i radosnego swobodnego nastroju przy chętnem zachowaniu regulaminu zakładowego. Doskonale pomaga w tem szeroki samorząd dzieci, wprzągnięcie ich do wzajemnej przyjacielskiej kontroli. Pan Bóg błogosławi tej pracy, bo panuje duch Boży i zdrowotność wśród dzieci doskonała. Samodzielnej naszej szkole w Czerny groziło przez pewien czas poważne niebezpieczeństwo połączenia ze szkołą wiejską. Dzięki jednak zabiegom, pomocy X. Metropolity i władz miejskich sprawę załatwiliśmy dla nas pomyślnie. A baliśmy się tej komasacji, gdyż połączenie dzieci naszych z młodzieżą wiejską wpłynęłoby ujemnie tak na sprawę wychowania jak i poziom nauki w szkole. Wizytacja naszej szkoły przez Komisję Kuratorjum, składającą się z wizytatora i dwóch inspektorów stwierdziła stan szkoły doskonały i wyraziła gronu nauczycielskiemu pełne uznanie, którego praca sumienna i zbożna w całej pełni na to zasługiwała i dziś zasługuje.

Prądnik. Wzniesiony dzięki niestrudzonym wysiłkom X. Sup. Lorka nowy gmach zakładowy im. X. Siemaszki na Prądniku służy w całej pełni swej dobroczynnej i społecznej misji. Pod opiekuńczemi skrzydłami św. Wincentego a Paulo, którego czcigodna postać, przygarniająca dwie biedne sierotki figuruje na frontonie gmachu, wychowuje się już przeszło 200 osieroconych chłopców. Liczba ich wzrasta z roku na rok, tak iż jest nadzieja, że w krótkim czasie wypełni się nowy gmach młodzieżą po brzegi t. j. dosięgnie zakreślonej liczby trzystu. Zakład ten z nowoczesnemi i praktycznemi urządzeniami doskonale odpowiada swemu celowi. Życzliwe i uznające działalność naszego Zgromadzenia władze tak rządowe jak i miejskie otaczają Zakład opieką i śpieszą z pomocą. Ministerstwo Oświaty pozwoliło na otwarcie publ. szkoły

w domu i przydzieliło trzy siły nauczycielskie. Jako ciąg dalszy Czerny utworzyliśmy trzy następne klasy V, VI i VII powsz. dla młodzieży wyłącznie z Zakładu. Przez uruchomienie Prądnickiego Zakładu rozwiązaliśmy problem całkowitej opieki nad osieroconą młodzieżą od wieku szkolnego do czasu wojska. W Czerny mieszczą się 4 pierwsze klasy szkoły powsz. z dziećmi od lat 6—10. Zakład na Prądniku otrzymuje młodzież z Czerny i kształci ją dalej w V, VI i VII kl. powsz., poczem zdolniejszą młodzież zatrzymuje i posyła do szkół średnich, a mniej zdolną przenosi do macierzystego Zakładu przy ul. Długiej, gdzie mieści się tylko bursa dla rzemieślników i czeladników. Normalnie idąc opuszcza chłopiec Zakład z dyplomem czeladnika lub świadectwem maturycznem szkół średnich. Wielką więc przysługę oddaje nasze Zgromadzenie Ojczyźnie, dając tak zorganizowaną opiekę 430 osieroconym chłopcom. Rozumiejąc tę naszą misję Kraków uczcił założyciela X. Kazimierza Siemaszkę podobnie jak Warszawa X. Boduena, nazywając ulicę obok naszego Zakładu Prądnickiego ulicą Księdza Siemaszki. W ubiegłym roku w czerwcu obchodziliśmy jubileusz 50-lecia istnienia Zakładów. W obszernym i pięknym hallu uroczystą akademją święciliśmy tę podniosłą chwilę. Rząd polski wysłał w swoim imieniu specjalnego delegata z Warszawy — naczelnika Opieki Społ. nad młodzieżą p. Krakowskiego, wielkiego przyjaciela Zakładu, który w przemówieniu podniósł owocną działalność Zakładów dla dobra polskiej młodzieży i dziękował Zgromadzeniu za opiekę. W akademji brał udział Najprzew. X. Wizytator. Na uroczystość przybyli również p. Wojewoda Krak., Prezydent Miasta i liczni reprezentanci Władz duchownych i świeckich. W licznych przemówieniach uczczono zbożną myśl i działalność Założyciela i następców na niwie opieki społecznej nad najbiedniejszą młodzieżą, której już przeszło 5 tysięcy korzystało z opieki Zakładów. Gości witał Ks. Dyrektor Seweryn Karolczyk. Ksiądz Sup. Rzymełka zobrazował działalność Zakładów, a Sup. Lorek dziękował władzom i społeczeństwu za opiekę nad naszą placówką miłosierdzia. W czasie akademji popisywała się młodzież Zakładu śpiewem i muzyką. Po pokazaniu nowoczesnych urządzeń gmachu pożegnaliśmy tak zacnych gości.

Jak wygląda nasza praca nad młodzieżą w ostatnim roku? Jest ona ciężką i odpowiedzialną, bo od niej zależny jest los tej licznej rzeszy młodzieży, a pamiętać trzeba, że to jest młodzież powojenna, czasem trudna do prowadzenia. Staramy się dać jej możliwie jaknajwięcej serca i ciepła, tym pozbawionym serca i opieki rodzicielskiej sierotom. Ideałem naszym jest duch św. Wincentego, który ze swojem przepełnionem miłością sercem szedł między tych maluczkich. By młodzież poza nauką i pracą, której zamiłowanie im wpajamy, mogła wyładować młodzieńczą energję, posiada boiska sportowe, drużyny sportowe, drużynę harcerską. Orkiestry mandolinowa i smyczkowa, gazetka zakładowa, która wychodzi tygodniowo, pielęgnują i krzewią ideały duchowe. Urządzamy zimą w każdą niedzielę przedstawienia, które ściągają masowo okoliczną ludność, a zwłaszcza młodzież tak, że jesienią i porą zimową ogromny hall Zakładu wypełnia się po brzegi i pulsuje gwarem i życiem. Wielki nacisk kładziemy na uroczystości kościelne i patrjotyczne, urządzając okolicznościowe akademje z odpowiedniemi odczytami oraz muzyką i śpiewem, co ściąga licznie publiczność i młodzież pozazakładową, ucząc ją miłować Boga i Ojczyznę. W tym celu także otwarliśmy dla szerszej publiczności kaplicę, która co niedzielę wypełniona jest po brzegi, zwłaszcza młodzieżą. Egzorty niedzielne z pewnością niejedno ziarno dobre zasieją w tych duszach i dadzą plon zbożny w przyszłości. Możnaby tę młodzież pozazakładową, która się bardzo przywiązała do nas zaciągnąć do organizacyj katolickich i wzorem Nowej Wsi stworzyć Sodalicję. Niestety brak czasu w niedziele, gdyż i witkowicki wielki Zakład dla dziewcząt jest w naszej duchowej opiece. Czekamy na pomoc. W pracy gospodarczej pomagają nam Siostry Miłosierdzia, których cicha praca, a tak odpowiedzialna jest przykładem dla wychowanków. Najtrudniejszą jednak troską Zakładu jest wyżywienie i okrycie tak licznej rzeszy. To też pochłania najwięcej czasu i sił. Dzięki Opatrzności Bożej i opiece św. Wincentego przecież dajemy sobie radę. Życzliwe władze tak wojewódzkie jak i miejskie, z którymi utrzymujemy przyjacielskie stosunki, w miarę możności śpieszą nam z pomocą, a w razie niemożności przynajmniej dodają otuchy i zachęty do walki o lepsze jutro. Zakładem kieruje X. Jan Ciszowski.

Ul. Długa: Terminatorzy.

Jest ich koło setki i są z całej naszej młodzieży w najsmutniejszem położeniu. Z powodu zastoju w przemyśle niezmiernie ciężko umieścić chłopca w warsztacie, raz dlatego, że dużo warsztatów zamkniętych lub liczba personalu zredukowana do minimum. Chłopcy na trzecim czy czwartym roku nie wyzwalają się umyślnie, gdyż po wyzwoleniu straciliby pracę. Właściciel warsztatu trzyma chłopca chętnie bliskiego wyzwolenia, gdyż płaci mu mało, a korzyść ma z niego jak z czeladnika. Z chwilą wyzwolenia byłby zmuszony płacić za jego pracę dużo więcej. Ponieważ często uczynić tego nie jest w stanie z powodu słabego ruchu w interesie lub uczynić nie chce z wyrachowania, natychmiast po wyzwoleniu chłopca wydala. Stąd też i nasi nie chcą się wyzwalać mimo ukończenia czasu praktyki, bo wiedzą, że po wyzwoleniu pracę stracą. Lepiej zarobić mało, niż nic. Także wiedzą o tem, że po wyzwoleniu się musieliby stosownie do regulaminu Zakładu, opuścić go. I tu jest powód, dlaczego sprawa terminatorów tak bardzo jest trudna do rozwiązania. Mimo wszystko rokrocznie po kilkunastu chłopców wyzwala się, którym Zakład i w dalszym ciągu dopomaga, jużto wyszukując posady, czy też materjalnie wspierając w samodzielnem już życiu pozazakładowem.

Tak się przedstawia działalność Zakładów w ostatnich czasach. Zakłady pomimo tych trudności, w których się obecnie znajdują, pod wytrawnym kierownictwem X. superjora Karolczyka, nabytem szesnastoletnią pracą w tejże Instytucji, nietylko że pokonują trudności, ale wybijają się na czoło tak, iż władze państwowe, zaliczają je do najpotężniejszych instytucyj, zajmujących się opieką nad dzieckiem.

X. Jan Ciszowski.

Warszawa, św. Krzyż.

Każdy, który przychodzi pracować przy parafji św. Krzyża, mimowoli sięga myślą w przeszłość naszego Zgromadzenia w Polsce, którego kolebką była Warszawa. Więc każdemu, który nawiązał silne nici z naszymi przodkami, których szczątki spoczywają w podziemiach św. Krzyża, musi stanąć przed oczyma ogrom odpowiedzialności nietylko wobec Boga i dusz nad któremi pracuje, ale nadto wobec Zgromadzenia, które reprezentuje w stolicy. Wiele się

na to składa, że *oculi omnium* zwrócone są na kościół i parafję św. Krzyża, a z tych oczu nie zawsze bije przyjaźń i życzliwość. Jeżeli gdzie, to w wielkiem mieście ścierają się rozmaite prądy i odbijają nieraz mocno o nasz kościół. To centralne położenie naszej świątyni, której schody z jednej i drugiej strony jakby zagarniały przechodniów, sprawia, że na brak pracy narzekać nie możemy. Wszystkie dalekobieżne pociągi przychodząc wczas rano do Warszawy, przywożą mnóstwo interesantów z całej Polski, którzy wolny czas przed otwarciem biur wysokich urzędów, spędzają często w kościele, a troski i kłopoty z jakiemi przyjeżdżają, rzucają ich tutaj nieraz na kolana przed konfesjonałami, w tem szczęśliwem przekonaniu, że tylko pokornym i czystym na duszy Pan Bóg łaskę daje. Więc od prymarji odprawianej zawsze z wystawieniem Najświętszego Sakramentu, wychodzi już punktualnie co pół godziny najmniej 18 księży ze Mszą św. aż do wpół do 11, a co kwadrans rozdają księża licznym wiernym Komunję św., co z końcem roku daje liczbę 256.000 komunikantów. Nie jest to proporcjonalne do spowiedzi św., gdyż wielu penitentów komunikuje w trzech kościołach i licznych kaplicach szpitalnych, położonych na terenie naszej parafji. W niedzielę przesuwa się przez kościół około 15.000 wiernych, co i tak stanowi tylko połowę naszych parafjan. I choć na nabożeństwach niedzielnych księża cztery razy wstępują na ambonę, przecież zalega nam serca troska o tych zdala stojących od kościoła, do których dotrzeć jednak musimy przez „Wiadomości parafjalne“, które zamierzamy wydawać narazie raz na miesiąc. Z tem łączy się cała organizacja akcji katolickiej, przez którą musimy dostać się do tych co nas unikają lub nawet wrogo do kościoła katolickiego się odnoszą. Jeżeli się zważy, że z 10 księży naszego Domu, dwóch, X. asystent Paszyna i X. Ziebura zajęci są w szkołach jako katecheci, a na resztę przypadło w tym roku 447 ślubów, 318 chrztów św., zaopatrzenie razem z szpitalem Czerwonego Krzyża, gdzie kapelanem jest X. Szymański, 663 chorych, odprawienie 340 pogrzebów z półtoragodzinnym nieraz spacerem w deszczu i mrozie — że w tym roku księża mieli 27 seryj rekolekcyj (w tem 9 do Sióstr Miłosierdzia), to każdy przyznać musi, że czas jest dobrze wykorzystany. Do tego przecież jeszcze dochodzi praca wieczorowa w Stowarzyszeniach.

Najliczniejsze i najzasobniejsze jest Stowarzyszenie Dzieci Marji. Należą do niego służące z całej niemal Warszawy w liczbie ponad tysiąc. Administracją domu przy ulicy Radnej, gdzie jest duża pralnia dochodowa, jadłodajnia oraz letniskiem „Pustelnik“ (pod Warszawą) zajmuje się X. dyrektor Niemkiewicz. Praca to duża, pochłaniająca cały wolny czas księdza, zwłaszcza, jeżeli, tak jak dotąd nie ogranicza się do strony religijnej i społecznej, ale wkracza również w stronę materjalną Stowarzyszenia.

W dobie obecnie ciężkiego kryzysu ekonomicznego i wynikającego stąd bezrobocia praca charytatywna w parafji, staje się niemal fundamentem akcji katolickiej. Jako synowie św. Wincentego musieliśmy przyciągnąć do siebie te Dzieła, które ożywione są duchem naszego św. Założyciela z jego wypróbowanemi metodami wspierania ubogich. Więc przedewszystkiem postawiliśmy mocno Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia (parafjalny oddział św. Krzyża), które obecnie liczy przeszło 50 Pań czynnych, a blisko 150 Pań wspierających. Zebrania, którym przewodniczy X. Superjor odbywają się regularuie co 2 tygodnie. Sekcją Pań Miłosierdzia jest Stowarzyszenie Akademiczek, w liczbie 23, opiekujące się 25 rodzinami; praca tam idzie nadzwyczajnie, a silne podstawy finansowe (stała dotacja 25 dolarów miesięcznie przez p. konsulową Gawrońską) wraz z młodzieńczym zapałem zapewniają tej młodej instytucji świetny rozwój. Jest też przy parafji, coprawda bardzo nieliczna Konferencja Akademików, która za teren działania obrała sobie nędzne baraki „Polusa“. Jednem i drugiem Stowarzyszeniem zajmuje się X. Superjor. Ku wielkiemu naszemu zbudowaniu pracuje i rozwija się Konferencja Panów św. Wincentego, pod duchowem kierownictwem X. Szymańskiego. Zapał u tych mężczyzn tak wielki, że nie ograniczyli się do dawania jałmużny, ale na specjalnych zebraniach urabiali swego ducha katolickiego i wznieśli temsamem fundamenty pod akcję katolicką, zorganizowaną następnie na zasadach określonych przez tutejszy Sekretarjat. Dwie Sodalicje pp. Urzędniczek i chłopców, założone ongiś przez X. Petrzyka, pielęgnują pod kierownictwem X. Szadki nadal kult Marji Niepokalanej, a młodzieńczy duch zapału i poświęcenia stawia ich zawsze w pierwszych szeregach aktywnego życia parafjalnego. Chłopcy przez swoje doskonałe Kółko dramatyczne promieniują

szeroko, wnosząc dużo radości do sal szpitalnych i świetlic żołnierskich, podczas kiedy skromne sekcje: misyjna i dobroczynna Sodalicji pp. Urzędniczek cudów dokonują swą mrówczą pracą.

Dostarczaniem nowych zastępów do tych stowarzyszeń zajął się X. Asystent Paszyna, który niestrudzenie prowadzi co niedzielę w Sodalicji szkolnej i Kółkach św. Teresy kilkaset młodzieży żeńskiej. Praca to mozolna i swoista, przeplatana zabawą i wycieczkami, urabia charaktery i wdraża karność życia organizacyjnego. Nie można pominąć też faktu, że X. Paszyna, jako długoletni katecheta, wzorowo w swoich szkołach zorganizował Dzieło św. Dziecięctwa, budząc zrozumienie i umiłowanie misyj. Arcybractwem Najśw. Sakramentu, które zaopatruje biedne kościoły kresowe i starodawnem Bractwem św. Rocha przy naszym kościele kieruje X. Superjor. Jemu też przypadło zadanie wykraczające coprawda poza ramy naszej parafji, mianowicie ześrodkowanie pracy wszystkich oddziałów parafjalnych Stowarzyszeń Pań Miłosierdzia, jakoteż i Konferencji Panów św. Wincentego.

Jako dyrektor Rady naczelnej Stow. Pań Miłosierdzia gromadzi raz w miesiącu wszystkie delegatki oddziałów parafjalnych na wspólnych obradach i jest łącznikiem w drażliwych nieraz sprawach organizacyjnych całej akcji dobroczynnej. Przy naszym kościele skupiliśmy też Konferencje męskie przez użyczenie lokalu Radzie wyższej i Radzie miejscowej, które czują się u siebie pod opiekuńczemi skrzydłami naszego Zgromadzenia.

W tym roku 1932 przypadła uroczystość jubileuszowa 250 lat od położenia kamienia węgielnego pod nasz kościół. Obchodziliśmy ją 13 listopada, a zaszczycili i uświetnili swą obecnością wysocy dostojnicy Kościoła: J. E. X. Arcyb. Marmaggi, Nuncjusz Apostolski (wotywę), J. E. X. Kardynał Kakowski, celebrując sumę i J. E. Biskup polowy Gall, który zakończył uroczystemi nieszporami ten podniosły dla całej parafji dzień.

Prasa podkreślała ten fakt w licznych artykułach, z których jeden, drukowany w „Kurjerze Warszawskim“, Roczniki podają.

Wszystkie te nabożeństwa nadzwyczajne, jak i niedzielne uświetniał nasz nowy chór świętokrzyski ze swoim dyrygentem-kompozytorem a nowym organistą prof. Janem Makłakiewiczem. Jeżeli organista przez 16 lat wyćwiczył 5 mszy św., a stale ope-

rował tylko trzema, przyzna każdy, że dawno już zasłużył na wysłanie go na emeryturę. Zmiana ta, spowodowana zresztą jego chorobą, wywołała ogromną burzę wśród bliższych i dalszych jego zwolenników i dłuższą polemikę na łamach pism. Dziś, po roku intensywnej pracy i szczęśliwych występach na koncercie i w Radjo, muszą wszyscy przyznać, że chór świętokrzyski i jego dyrygent nie zawiedli pokładanych w nim nadziei.

Skoro poprzedni Superjor X. Krauze zabezpieczył świątynię naszą od zewnątrz, dając jej solidny miedziany dach, trzeba było przystąpić do odnowienia kościoła wewnątrz. Ostatnie gruntowniejsze malowanie było przed 23 laty. Tylko dzięki bezrobociu udało się uzyskać tanią ofertę sumiennego malarza, który szybko i dobrze odświeżył kościół za cenę 22.000 złotych, rozłożonych na raty miesięczne. Równocześnie zaprowadziło się centralne ogrzewanie gorącem powietrzem na bardzo dogodnych warunkach, gdyż sumę 22.000 zł. rozłożono nam na tyleż miesięcy bez procentu. Przy tem mamy to zadowolenie, że dzięki naszej inicjatywie zakupiono patenty niemieckie na ogrzanie kościołów tym systemem, a sami przy wszystkich pracach około odnowienia kościoła mogliśmy zatrudnić 73 bezrobotnych. Jak przychylnie odnosili się do naszej świątyni parafjanie, świadczy to, że sami zafundowali artystyczne bronzowe stacje Męki Pańskiej projektu prof. Wysockiego oraz trzy witraże w kaplicy Matki Boskiej kosztem 10.000 złotych. Wogóle ofiarność na odnowienie kościoła była i jest bardzo wielka. W takiej atmosferze życzliwości ze strony parafjan miło jest pracować i, choć uznojeni, wyglądamy, daj Boże, nowego pola pracy.

X. J. Lorek.

Biały Kamień.

Praca tu, jak na każdej parafji w obrządku mieszanym, jest trudna i żmudna, a przytem bardzo odpowiedzialna.

Wprawdzie w samym Białym Kamieniu jest niewiele osób obrządku łacińskiego, tak, że nie można się spodziewać, żeby do kościoła parafjalnego uczęszczało na sumę i kazanie z miasteczka samego więcej jak sześćdziesiąt osób. Ze wsi Bużka, Poczap i Bełzca przyjść może po kilku zaledwie łacinników. Jedynie z Cze-

remoszni, gdzie połowa ludności jest obrządku łacińskiego i z Żalic, które, choć odległe, ale kochają swój obrządek i kościół, przychodzą parafjanie dość licznie i są prawdziwą pociechą swoich duszpasterzy. To jednak jest dopiero trzecia część parafji; reszta, czyli dwie trzecie uczęszcza na nabożeństwa do dwóch odległych kaplic w Uszni i w Skwarzawie; tam więc kieruje się ekskursyjnie całą forsę pracy parafjalnej.

W Uszni, odległej zaledwie o 5 klm od Białego Kamienia, mieszka zwartą masą 1.500 dusz obrządku łacińskiego. Podczas, gdy zamieszkałych w Uszni 500 grecko-katolików ma w miejscu własnego parocha, nasi parafjanie mają kaplicę tylko, a ksiądz dojeżdża w każdą niedzielę i święto z pełnem nabożeństwem i gdy wypadnie pogrzeb, ślub lub zaopatrzenie chorego. Jak męczy taka praca i jazda po straszliwie zniszczonej drodze, o głodzie i chłodzie i wszelkiej innej niewygodzie, to chyba łatwo każdy wyobrazić sobie potrafi.

Ten sam trud podejmuje drugi ksiądz udający się 2 razy w miesiącu i w niektóre swięta do kaplicy w Skwarzawie, odległej o 8 klm, gdzie zbiera się ludność obrządku łacińskiego z 5 innych wsi. Ponieważ zaś obsługujemy i kościół Sióstr w Białym Kamieniu, więc prawie co niedzielę musi dwóch księży bisować Msze św.

Niemniej ważną od pracy w kościele i kaplicach jest katechizacja dziatwy po szkołach, a tych szkół jest 10. W miejscu jest szkoła siedmioklasowa, w której tygodniowo udziela się 14 godzin nauki katechizmu. W innych szkołach, choć godzin religji jest mniej, ale jechać trzeba daleko, nieraz w słocie i po błocie, a najgorsze to, że dzieci małe nie umieją po polsku, a tu nawet pacierza sam ksiądz musi z trudem uczyć i pilnować, żeby ksiądz ruski nie zabrał naszych dziatek do swojej spowiedzi i preczastji, bo wtedy już się będą uważać za należące do obrządku greckokatolickiego. W małżeństwach mieszanych, ojcowie Rusini, zmuszają córeczki do uczęszczania na religję ruską i do zmiany obrządku; ile tu potrzeba opanowania nerwów i żelaznej wytrwałości, aby obronić stan posiadania i parafji i narodowości polskiej, to wiedzą tylko ci, co to przeszli. Do szkoły w Czeremoszni, w Gawareczyźn.e i w Bużku, chodziliśmy pieszo, bo biedne gminy nie stać

na furmanki. Katechizacja i kolęda, to rzeczy nadzwyczajnej wagi w duszpasterzowaniu na kresowych parafjach.

Stowarzyszenie Dzieci Marji w ostatnich dwóch latach i liczebnie i duchowo rozwinęło się w parafji tutejszej, niemniej i papieskie Dzieło Rozkrzewienia Wiary. To ostatnie zawdzięcza swą żywotność niestrudzonej działalności w tym kierunku X. Jana Cepurskiego.

Oprócz tej pracy na trzy fronty, bo w dwóch kościołach na miejscu i ekskursyjnie w Uszni i w Skwarzawie, wiele zabiera czasu i kłopotu sprawia kancelarja parafjalna nietylko z powodu prowadzenia metryk, sporządzania wykazów statystycznych, poborowych, szkolnych, do szczepienia ospy, sądowych i tym podobnych elaboratów piśmiennych, ale także i sporządzanie kartotek inwentarza, sprawy gruntowe, tabularne, podatkowe, różne sprawozdania z obchodów i zakładania stowarzyszeń do Akcji katolickiej należących.

Pomagaliśmy też sąsiadom spowiadać w czasie odpustów i w Wielkim poście w Złoczowie, Sasowie, Olesku i Gołogórach. Nie zapominaliśmy i o Milatynie, a jeden z nas jeździł jako spowiednik nadzwyczajny Sióstr Miłosierdzia do Złoczowa, do Nowosiółek, a także i do Załoziec czasem. Rekolekcjom rocznym Sióstr co roku jeden z nas przewodniczył i w krakowskiej i chełmińskiej prowincji.

X. Henryk Krzyszkowski.

Cacica.

Skoro już w modę weszło narzekanie na powojenne czasy i kryzę, od tego zaczynam — i my tu kryzę odczuwamy. Padły słupy graniczne między Regatem (t. j. Rumją starą) i nami tu na Bukowinie, ale potworzyły się teraz nowe gorsze tak, że dziś zdaje się chyba do Chin i Ameryki łatwiej się przedostać, jak tu do nas. Domy nasze to oazy Polonji, bo tak Cacica jak i Sołoniec otoczone zewsząd osiedlami rumuńskiemi. W kościele u nas nie zmieniło się nic i zdaje się nieprędko się zmieni. Poręką powszechnie i chlubnie nawet w Krakowie znany X. Biskup Robu, który po polsku się uczy, bo jak Ojciec św. jest tejsamej zasady, aby każdy w swoim języku Boga chwalił. W szkole religję i parę godzin polskiego pozostawili nam, pozatem wszystko po rumuńsku. Rumuni naogół religijni, do nauczania religji nawet przymuszają.

Ale nauki religji nie wynagradzają. Ciekawy to obraz, gdy nas tu 3-ch księży na religję się schodzi: polski, ruski i rumuński Amtsbruder. Gdyby Cacica była jednolitą jak Sołoniec, byłaby nie złą parafją, pomimo rozrzucenia po górach, ale na to rady niema, bo z ruskiego obrządku nie wolno przechodzić, a orjentalni nadzwyczaj trudno się nawracają, mając coś z greckiej zawziętości, identyfikując orjentalizm z rumunizmem.

Kościół nasz kaczycki i nadal wspaniale sterczy nad okolicą. Probostwo już znośniejsze i dosyć pakowne, dowodem odpust 15-go sierpnia, kiedy do dwudziestu księży w niem nocleg znajduje. Choć dużo po wojnie ubyło urzędników i innych katolików, przybywają zato z Rumji zapomniani i zromanizowani Polacy i Niemcy, którym dawniej nie wolno było przekroczyć granicy. Stąd ścisk nie mniejszy jak w latach przed wojną. W tym roku nawet 50% zniżki kolej udzieliła pątnikom z całej Mołdawy i Bukowiny. Na naszym odpuście też zgoda polityczna, bo Niemcy liczniej może jeszcze od naszych Polaków przybywają i nikt nie zraża się tą „schwarzen polnischen Muttergottes“, jak to niestety na Śląsku pod Niemcami pozostałym o M. B. Częstochowskiej się słyszy. Pięknie zachowała się tego roku na odpuście procesja z Fürstenfalu (Voievodeasa), sami Niemcy (Deutschböhmen). Jak weszli do kościoła, tak całą gromadą naokoło ołtarza na kolanach się posuwali i to tak niewiasty jak mężczyźni i dzieci. Niezwykły to objaw gorącości nabożeństwa u Niemców. Z rozrzewnieniem podziwiali to Niemcy Bawarczycy, którzy do turystyki swojej pielgrzymkę do Kaczyki włączyli. Była to grupa studentów. Jak harcerze pod namiotami mieszkali ze swymi księżmi, no i nieodstępnemi gitarami, na których sobie na Mszy św. do śpiewu jak średniowieczni minezengierzy przygrywali. Dość pociesznie to wyglądało. Ale snać dla nich to nie było nic nadzwyczajnego, skoro wszyscy przykładnie potem do Komunji św. przystąpili. Są to członkowie organizacyj katolickich, które co wakacje niemieckich katolików tu odwiedzają i ich znakomicie organizują. Jak dotychczas nie zmienił się też wielce obraz odpustu. Kazania odbywają się nadal w językach bukowińskich, a więc prócz naszego i nieodstępnego niemieckiego, jeszcze w węgierskim i rumuńskim. Ruski odpada, bo Rusini wobec zmiany kalendarza, w tym samym dniu u siebie odpust

odprawiają. Z Rusinami naogół dobrze się tu żyje, naród wogóle różnicy nie robi między sobą i tak jedne i drugie święta obchodzi, co przy obecnej kryzie roboczej niezłe zaprowadzenie.

W salinie odczuwamy brak naszych dawniejszych radców i inżynierów. Z przybyciem Żydów i Madjarów (Kalwinów) na urzędników, znikła św. Barbara patronka, dawniej tak uroczyście obchodzona w kaplicy podziemnej, jakby w katakumbach nabożeństwem w obydwuch obrządkach. Dziś praca wre w tym dniu na całej kopalni i na świecie i na dole. Trochę w tem winni sami górnicy, że się nie upominają o swoje prawa i przywileje, ale wobec szykan, przenoszeń gdzieś do kopalń wgłąb Rumunji, boją się i cierpią. W ostatnim czasie przywrócono palenie lampki przed obrazem św. Barbary podczas szycht i śpiew „Święty Boże, Święty Mocny...“ przy schodzeniu do kopalni. Oby tylko tak dalej było.

W gminie zato mamy swobodę i czy Boże Ciało, czy odpust różańcowy procesji nam nikt nie zabrania, owszem szanują nas i nawet rumuńskie dzieci wtedy do szkoły nie uczęszczają, mają wolne.

Rząd naogół nie jest wrogo usposobionym dla katolicyzmu. Pensję wypłaca, ale mocno skrojoną i bardzo nieregularnie, przynajmniej w zeszłym roku, bo za niektóre miesiące jeszcze winien. Drożyzna jak wszędzie. O tyle tylko tu lepiej, że lud przywykły do małych potrzeb, nie jest wymagającym i mamałygą się kontentuje, która tu bardzo tania. Na bezrobocie po fabrykach i traczkach odpowiadają ludzie kradzieżą drzewa na sprzedaż, zaco sądy nie bardzo obecnie karzą.

W tym roku mieliśmy nieszczęście. Zakradł się złodziej (dezerter) na odpuście do kościoła i skradł nam missalja odpustowe Nie był to zawodowiec, świętości nie ruszył, a z pieniędzy tylko większy pieniądz papierowy zabrał. Dla braku mieszkań dla tylu pielgrzymów pozwolono z początku ludziom na spanie w kościele. Odczuwaliśmy to wszyscy księża, że to nadużycie, a jednak nie można było tego usunąć. Ale zło co na dobre wyjść zdaje się, to ta kradzież, bo odtąd chyba każdy uzna, że na to pozwolić więcej nie można, aby okazji nie dać do dalszych kradzieży i świętokradztw. Aby to tem łatwiej uskutecznić zmuszeni jesteśmy od-

budować stary dom pielgrzymów, które to schronisko Moskale nam spalili, a z którego tylko fundamenta pozostały. Będzie to naszą czytelnią, a w lecie posłuży i turystyce katolickiej. Wobec tego schronisko dla pielgrzymów wielce korzystnem się okaże, bo też Kaczyka jest choć w minjaturze bukowińską Częstochową, a przez kopalnię i bukowińską Wieliczką. Sala dość duża na zebrania i przedstawienia posłuży nam do podtrzymywania ducha katolickiego i polskiego, zwłaszcza tym żywym katechizmem, jakim jest każde przedstawienie szopki. Będzie to nasz dom katolicki, tylko bez złotej sali, bo wszystko w niej prymitywne i tylko z drzewa. Zemściło się na nas, że dom daleko od kościoła i na przyszłość o tem pamiętać trzeba przy zakładaniu nowego domu misjonarskiego.

Odpust nasz kaczycki podobny do naszych polskich. Po sumie wszystko na łeb na szyję ucieka. Kramy i panoramy są wszędzie tesame, ale co dziadów oryginalnych i cyganów, to chyba tylko tu na wschodzie. Sami Rumuni. Naszych nawet nie widać. Niektórzy z lirami wcale pokaźnie się prezentują i nieźle śpiewają, a zuchwałe. Tego roku aż do kościoła to wlazło i ludzi za rękawy ciągnęło. Snać i u dziadów kryzys. Co jeszcze uderza, że odpust kaczycki, to odpust spowiedziowy, dużo dobrego się robi słuchaniem spowiedzi w dowolnych językach. Wielka nagroda chyba spotkała tych dwóch założycieli kaczyckiego domu i kościoła: X. arcybiskupa Webera i X. wizytatora Słomińskiego za to dzieło, które pomimo wojny i zmiany diecezji i kraju nie upadło, ale się rozwija, choć na swój sposób. Stosunek parafjan do swego proboszcza poprawia się wobec braku poparcia ze strony rządu mu obcego. Dla braku konfratrów i środków utrzymania skazani tu jesteśmy na życie w pojedynkę. Głównemu celowi naszemu, misjom, zadosyć uczynić nie możemy. Daliśmy tylko rekolekcje ludowe, pół po polsku, pół po niemiecku w bliskiej Suczawie. Korzystaliby i po innych parafjach z nas, ale wszyscy życzą sobie pomocy w czasie Wielkanocy, to niemożliwe. Czerniowce i Bojany od nas daleko; toteż z X. superjorem Dziewiorem z sąsiedniego Sołońca z radością każdą okazję witamy, aby się zejść i pogwarzyć. Wielką wprost radość sprawiają nam konfratrzy, którym udaje się trudności graniczne pokonać i nas odwiedzić. Gdyby nie te chińskie mury,

granice, między nami a Polską, Kaczyka i Sołoniec byłyby istnym rajem dla chorych konfratrów. Dałby Bóg, aby się doczekać tego.

X. Wochowski.

Sołoniec.

Sama miejscowość tak nieznaczna, że napróżnoby się ktoś silił, by ją na jakichkolwiek mapach geograficznych znaleźć. Będąc zaś zdala od większych środowisk, jest prawie że nieznana. A jednak miejscowość Sołoniec, to urocza wioska, choć biedna, ale zato bogato wyposażona przez przyrodę, położeniem swojem. Usadowił się u samego zbocza lesistego pasma gór Karpat, częściowo wchodzi w same góry. Z kąta załamania się pasma górskiego rozciąga się długiemi mackami w czterech kierunkach, zaś w samym środku wsi wznosi się biedny, stary, drewniany kościółek, jako rażący kontrast do obok stojącej, murowanej rezydencji miejscowego plebana. Od południa i na zachód okolony jest Sołoniec wysokiemi szczytami gór, o udrzewieniu szpilkowem i buków odwiecznych. Od północy rozsiadły się rozległe i obszerne wzgórza pól ornych, tak, że osiadły w obszernej dolinie Sołoniec, chroniony jest od przykrych wpływów wiatrów północnych. Od doliny Majdanu, zamieszkałej w większej części przez Rusinów, bo i tu są, przez środek wsi sunie wartkiem biegiem, napozór cichy i spokojny strumyk, Sołoniec zwany, biorący w siebie po drodze inne dopływy z gór, wzdłuż których obrał sobie bieg swój. Mały to strumyk, zato przy wiosennych, ulewnych deszczach i roztopach w górach śniegów, potężnieje w groźny żywioł, toczący z szumem całe głazy potężne, unoszący na barkach swoich całe drzewa z korzeniami i potężne kloce, które zabiera z lasów państwowych i unosi w dal, zalewając przytem wszystkie osiedla ludzkie, które doń przylegają. Przed dwoma laty pokusił się nawet, by szkołę ruską usunąć na Majdanie. Tak ją daleko podmulił, że połowa wisiała nad rwiącą rzeką i groziła zwaleniem się w złowrogie flukta, trzeba ją było rozebrać, była bowiem z drzewa. To jest najgroźniejszy wróg naszej miłej, górzystej wioski. Obok niego wyrastają inne pomniejsze, jak grzyby po deszczu. Tam zabłądził do obcej obory baran i niema go, to znowu kury i gęsi poszukały sobie innego żywiciela, ten znalazł wóz swój o trzech kołach,

tamten został bez ziarna do siewu, bo się gdzieś ulotniło, i tem podobne przypadłości chodzą po ludziach. Ale wszystko to ma uzasadnienie w kryzysie, jak wogóle dziś wszędzie na świecie.

Takby wyglądał w ogólnym zarysie Sołoniec, ta pewnie przyszła stacja klimatyczna, bo i górskie powietrze tu wyjątkowo nader zdrowotne. Posyłam ten krótki opis Sołońca, jako wstępne pisanie, później może być więcej. O życiu, zwyczajach tutejszej ludności pisać nie zamierzam, by w czem nie ubliżyć, wszak to moi parafjanie, bym zamiast chwalić, snać nie zganił.

To przesilenie gospodarcze więcej dobrego zdziałało, niż najwymowniejsze słowa. Brak roboty w lesie, brak zarobkowania wyrył na ich obliczach pewne piętno smutku i troski o życie, to też jakby wymarł cały Sołoniec. Ustały zabawy, znikła wesołość, znamionująca ten hoży lud góralski. Cicho i głucho we wsi, aż pewien chłód od niej wieje. Znalazłszy w zabiegach swoich o życie źródło jakiego takiego dochodu, mleko, swój jedyny produkt, skwapliwie zanosi do mleczarni, by jakoś życie utrzymać. Ale pokrzepiamy się błogą nadzieją że tak nie będzie zawsze, że nadejdą kiedyś lepsze czasy.

X. Dziewior.

Brazylja. Kurytyba.

Do Brazylji wrócił po kilkomiesięcznej nieobecności X. Józef Góral dnia 20 listopada 1932 r. Do Kurytyby przywiózł X. Józefa Hajduka. X. Góral, proboszcz w Abranches, założyciel „Przyjaciela Rodziny“, autor wielkiego słownika portugalskiego i polskiego oraz dokładnej polskiej gramatyki języka brazylijskiego, powrócił znów na swoje stanowisko do Abranches.

W Kurytybie odbył się dnia 8 stycznia 1933 r. XII Walny Zjazd Stow. „Oświata“. Stowarzyszenie to założone przez Misjonarzy istnieje wysiłkiem naszych Konfratrów w Brazylji i pracuje niezmiernie pożytecznie dla kolonistów.

Najważniejszą jednak wiadomością jest to, że Zgromadzenie nasze ma obecnie w Kurytybie swój kościół. Trzeba było niespożytej i nieustępliwej energji X. Wizytatora Bronnego, żeby to dzieło w warunkach tak trudnych doprowadzić do skutku. Kościół już jest skończony. Stanął na najwyższym punkcie w Kury-

tybie i dominuje nad całem miastem. Wspaniały stąd roztacza się widok.

Z końcem stycznia 1933 r. przybył do Kurytyby X. Franciszek Madej. Wyświęcony na kapłana 19 czerwca 1932 r. przez Księcia Metropolitę Sapiehę wyjechał z Krakowa 2 stycznia 1933 r., a z Genui statkiem włoskim 5 stycznia do Brazylji.

Powstaje nowa kolonja w Paranie, o której X. Jan Pałka tak pisze:

Kilka miesięcy temu rząd parański pragnąc przyjść z pomocą bezrobotnym, założył kolonję za Bocayuwą, dając jej nazwę Abrantes Marques. Jak to już dawniej donosiliśmy, rząd daje pewne zapomogi i ułatwia tym bezrobotnym, którzy wyrażą chęć pracy na roli.

Wielu bezrobotnych wyczytawszy wzmiankę w „Ludzie" o rządowej kolonji dla bezrobotnych, zgłaszało się do naszej redakcji o bliższe informacje. Dopiero dziś możemy służyć pewnemi wiadomościami o kolonji Abrantes Marques; otrzymaliśmy je z ust jednego z naszych rodaków, p. Aleksandra Pawłowskiego, który już na tej kolonji posiada gospodarstwo.

— A więc to Pan przybywa z Abrantes Marques, z kolonji dla bezrobotnych — pytam.

— Tak, z kolonji Abrantes Marques, ale jest to teraz kolonja nie dla bezrobotnych lecz chętnie pracujących — odpowiada p. Pawłowski.

— Słusznie pan powiada, nie wiem dlaczego tak tę kolonję nazwano? A czy dużo jest już tam tych chętnie pracujących?

— Jak dotąd, dopiero 8 rodzin polskich, 6 niemieckich, 5 brazylijskich, 2 litewskie, 1 ukraińska i 1 estońska.

— To istna wieża Babel! — wykrzykuję.

— Był jeszcze jeden japończyk, ale nie utrzymał się — dodaje mój informator.

— A jakie są warunki osiedlenia się? — pytam dalej.

— Każda osoba bez względu na narodowość i stan — objaśnia mnie — gdy zgłosi się do Inspektoratu Zaludnienia (Inspectoria do Povoamento) przy ul. 15 de Nowembro w Kurytybie i wyrazi chęć osiedlenia się na kolonji otrzymuje 10 akrów

ziemi na tych warunkach, że w ciągu 8 lat spłaci ją ratami w sumie 36 $.

Pierwszą ratę uiszcza się dopiero w początku trzeciego roku gospodarki.

Kolonista może otrzymać za opłatą 27 $ domek zbudowany z drzewa pinjorowego, wielkości 6 razy 4 m. Oprócz tego, może otrzymać najpotrzebniejsze narzędzia gospodarskie za zwrotem kwoty 2 $.

W spłatach ziemi, koloniści mają to ułatwienie, że mogą odrabiać ją robocizną, pracując przy drogach 15 dni w miesiącu, płaca dzienna wynosi 6 $.

Jest jednakże pewne zastrzeżenie dotyczące osób wolnych. Kawalerzy, ażeby otrzymać szmat ziemi, muszą zgóry wpłacić 10 $ jako pewną gwarancję, że zobowiązań nie porzucą lekkomyślnie.

— Warunki znośne — powiadam — ale dojazd kiepski: a czy tam są dobre ziemie?

— Dojazd nie najlepszy, ale już buduje się drogę; ziemia też jest dobra, rodzi zboża i jarzyny. Koloniści użalają się tylko na plagę mrówek.

Więcej odczuwamy brak kościoła i szkoły. Kolonja ma zamiar zbudować kościół, a co do szkoły, to właśnie w tej sprawie przyjechałem do Kurytyby. Samych polskich dzieci będzie u nas do 20. Bardzo rodzice pragną szkoły, bo dzieci dziczeją w lasach, a zwłaszcza w takiej mieszaninie, żadnego języka nie wyuczą się dobrze.

Udzieliłem wskazówek jak i gdzie należy skierować sprawę, aby znaleźć środki i nauczyciela dla kolonji, a wkońcu zapytałem.

— A czytają tam Polacy jaką gazetę?

— A tak, przychodzi do nas „Lud“, wprawdzie tylko jeden numer, ale obchodzi wszystkie rodziny polskie. Znam X. Redaktora właśnie przez gazetę i dlatego po przyjeździe do Kurytyby pierwsze kroki skierowałem do Redakcji „Ludu“.

Pogawędziłem jeszcze nieco o tem i o owem z miłym rodakiem, prawdziwym pionierem kolonizacji polskiej i pożegnałem serdecznie z nadzieją, że często nas będzie informował o losach kolonji polskiej w Abrantes Marques.

Sao Matheus.

Odbyła się tu rzadka uroczystość. W Sao Leopoldo w duchownem seminarjum riogradeńskiem otrzymał święcenia kapłańskie rodak nasz X. Piotr Wastowski. rodem z Guarani. Ponieważ jest to dawny parafjanin naszego Proboszcza X. Porzyckiego, który zanim do nas przyszedł, kilka lat sprawował posługi duszpasterskie w Guarani, a nadto ponieważ młody kapłan ma siostrę, która w habicie zakonnym jako Siostra Miłosierdzia pracuje w S. Mateusz, przeto X. Proboszcz zaprosił X. Wastowskiego z prymicjami do S. Mateusza. Uroczystość prymicyjna odbyła się wspaniale.

Nieco później, bo w Boże Narodzenie w pobliskiej kolonji Antonio Olintho odprawił prymicje inny nasz rodak, X. Albano Marciniszyn, franciszkanin, rodem z Antonio Olintho, który święcenia kapłańskie otrzymał dnia 17 grudnia 1932 w Petropolis.

A teraz nieco o doli i niedoli z roli. Mieliśmy tu piękne urodzaje. Ludzie obsiali i obsadzili olbrzymie szmaty ziemi.

Zamierzamy w styczniu urządzić tutaj wystawę rolniczą, ale o tej sprawie dopiero później, gdy wystawa będzie gotowa.

Rio Vermelho.

Od dłuższego już czasu leży ciężko chory w szpitalu w Sao Bento X. Hiacynt Mięsopust, proboszcz parafji Rio Vermelho, znany i zasłużony dendrolog, który tak bezinteresownie współpracował z prof. Rafałowskim w Poznaniu. Posłał mu ogromną ilość różnych odmian drzew brazylijskich tak, że dzięki temu uniwersytet poznański ma dziś największy zbiór drzew brazylijskich. Obecnie X. Mięsopust jest w Thomas - Coelho.

Orleans.

I tu stanął nowy kościół wybudowany przez X. Kandorę w r. 1930/31 przy ochotnej pomocy wszystkich parafjan.

Rio Claro.

W październiku przybył do naszej parafji Najprzew. X. Biskup z Ponta Grossa, Antonio Mazzarotto, z wizytą pastoralną.

Od r. 1906 nie widział tutaj naród biskupa. To też entuzjazmem witano tak zacnego gościa.

Do Malletu przybył 5-go października. Z inicjatywy prefekta Elpidio Silva, zawiązała się komisja przyjęcia biskupa.

Prezesem został p. Antonio Machado, a ruchliwym i czynnym wiceprezesem p. Witold Paul. Od stacji do bramy triumfalnej ustawiły się dzieci szkolne z „grupo escolar" oraz ze szkoły zakonnej Sióstr ukraińskich. Wśród szpaleru dziatwy szkolnej rzucającej kwiaty przeszedł X. Biskup w towarzystwie komisji przyjęcia, aż do łuku triumfalnego, gdzie go powitał wymownemi i wzruszającemi słowy promotor municypalny p. Divonsir Borba Cortes, niegdyś uczeń X. A. Mazzarotty.

Do Rio Claro przybył X. Biskup autem ofiarowanym przez p. Manoela M. de Miranda, w dniu 8-go października, po południu. Na 4 kilometry przed Rio Clarem czekała banderja z 20-tu junaków pod dowództwem instruktora p. Gerbicha.

Przed pierwszym łukiem triumfalnym wzniesionym staraniem p. Bronisława Głusia, oczekiwały już ustawione organizacje, z których w kilku słowach powitały X. Biskupa: dziewczątka i chłopczyki ze szkoły parafjalnej, następnie Sodalicja Młodzieńców, Dzieci Marji, prezes Bractwa Różańcowego p. Fr. Ferencz w imieniu parafji, a notarjusz p. Paulo Kisner w imieniu kolonji.

W domu p. Łyczki przybrał X. Biskup szaty pontyfikalne i uroczyście wstępował do kościoła parafjalnego przechodząc po pod drugim łukiem zbudowanym staraniem triumwiraty — pp.: Domaradzki, Czapliński. Piskorski.

Kościół, staraniem Sióstr, wspaniale przybrany wieńcami, które wiły gorliwsze Dzieci Marji.

Tegoż dnia pod wieczór, śliczne przyjęcie zgotowały dzieci w szkole Sióstr Miłosierdzia.

Odpust w Rio Claro był więc tego roku 9-go października nadzwyczajny, bo sumę celebrował sam pasterz diecezjalny.

Najprzew. X. Biskup pozostał w Rio Claro do środy włącznie.

Przypuszczamy, że mu się tu podobało, bo na ten czas ze specjalnych składek obieliło się kościół i plebanję. Tron też miał bardzo ładny. Księży też towarzyszyło mu dużo, bo aż 7. Z obcych obecni byli X. Jan Olszówka z Cruz Machado, X. Paweł

Warkocz z Iraty, który towarzyszył wiernie X. Biskupowi przez cały czas wizyty, X. Stanisław Porzycki z Mateusza, ks. Alojzy Orszulik z Prudentopolis ks. W. Dewor z Itayopolis a we Vera Guarany pomagał X. Jan Zygmunt.

Do Vera Guarany przybył X. Biskup 13-go października w czwartek.

Vera Guarany mogło się pochwalić kościołem wykończonym już, choć bez wieży i malowania. Chciało Vera Guarany gościć X. Biskupa już w nowej plebanji, ale wskutek kryzysu na czas jej nie wykończono. X. Biskup zamieszkał w domu Józefa Cholewicza, ale jadalnia przynajmniej mogła już być tymczasowo urządzona w nowej plebanji.

Z Vera Guarany wybrał się 17-go października X. Biskup do Paulo Frontim. Tam po ceremonjach kościelnych podejmowało tamtejsze obywatelstwo X. Biskupa obiadem w hotelu. Po miłej pogadance odjechał D. Antonio Mazzarotto do Doryzonu, gdzie podejmowali go gościnnie księża ukraińscy Piotr Prochiw Emilian Ananiewicz.

Wszędzie gromadził się naród licznie, nawet w dni deszczowe, aby posłuchać ojcowskich uwag i wskazówek diecezjalnego pasterza, zachowując go w miłej pamięci.

Chiny. Wenchow, 22 listopada 1932.

Najprzewielebniejszy Księże Wizytatorze!

Łaska Pana naszego niech będzie zawsze z nami!

Prawda, że jeszcze daleko do Świąt i Nowego Roku, ale i z Wenchow do Krakowa daleko, dlatego już dziś zasyłam od nas wszystkich „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia i pomyślnego Nowego Roku". Wiem, że tam musi być bardzo ciężko, dlatego modlimy się, by Pan Jezus nowonarodzony odmienił wszystko na lepsze. Tam pewnie czas szybciej leci, bo większy ruch, młodzieży dużo, pracy dużo, kłopotów dużo. Trzy części świata schodzą się w Krakowie, tam ręce o pomoc wyciągają, a wszyscy tylko o kłopotach donoszą.

My tutaj narazie trzymamy się. Powoli człowiek przychodzi do siebie, zagrzebuje się w pracy własnej, zapomina o świecie.

Zdrowie służy wszystkim. X. Grzeliński licho wygląda, skarży się na żołądek, ale jeszcze nie tak źle. U nas wstawili już nową kuchnię, brak teraz naczyń do gotowania. Pisałem do Shanghaju, kiedy nadejdą niewiadomo, w Chinach nikt się nie śpieszy, miesiąc, pół roku, mała różnica. Kucharz, chińczyk, gotował w jednej misce żelaznej wszystko pokolei. Trochę patrzą krzywo, że kuchnia — naczynia nowe.

Żeby tylko języka się nauczyć, wszystko pójdzie dobrze. Pogan bez miary i liczby, ale język konieczny, a tymczasem nie do zapamiętania, może to moja głowa już taka. Narazie człowiek zupełnie nieużyteczny, ani tam, ani tu.

Zasyłam od siebie i od konfratrów najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy należnej czci dla Najprzewielebniejszego Księdza Wizytatora.

W miłości Jezusa i Marji oddany, pokorny sługa

X. P. Kurtyka
n. K. Z. M.

Tuan Asuen, 29. XI. 1932.

Przewielebny Księże Wizytatorze!

Łaska Pana naszego niech zawsze będzie z nami!

Przesyłam Czcigodnemu X. Wizytatorowi moje najszczersze życzenia Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku oraz zapewnienie, że nie zapominam o Czcigodnym X. Wizytatorze w modlitwach, prosząc Boga o pomoc w tak trudnym urzędzie.

Od tygodnia jestem na misji. Został w Shunteh X. Szuniewicz z konfratrem chińskim. X. Marcin i ja objeżdżamy gminy chrześcijańskie z misjami i misyjkami, bo, zależnie od wielkości gminy, trwają one krótszy lub dłuższy czas. Poprzednie i obecna trwają po 5 dni, następne 4 i 3 dni. Choć chłodno, ale chrześcijanie zebrali się na podwórzu i razem z moim służącym, raczej pod jego przewodnictwem ćwiczą litanję do Matki Boskiej. Wyciąga każdy na własną melodję — ale śpiewają szczerze, ze serca, więc „szang mu Malia" napewno z tego zadowolona. Wszystko to nowi chrześcijanie, 10-letni zaledwie, dzieci zupełne, ale dobre, pełne żywej wiary, oddane Kościołowi i misjonarzowi. W po-

przedniej wiosce jest 70 katechumenów, a będzie ich jeszcze więcej, bo każdy katechumen, to apostoł wśród swoich. Tutaj ich mniej, ale i tu jest nadzieja. A wioska duża — 360 rodzin, więc byłaby wielka chwała boża, gdyby się wszyscy nawrócili. Oni mają dobrą wolę, ale djabeł ich trzyma mocno w szponach i dużo pomagać im trzeba modlitwą, by zrozumieli swój obowiązek względem Boga. Kościołów tu żadnych niema. W tej wiosce za kaplicę służy licha lepianka 8×3 m — a równocześnie jest to moje mieszkanie. W środku ołtarz, w jednym końcu rowery — mój i służącego, w drugim łóżko, stołek i kwadratowy, chiński stół — ot całe pomieszczenie. I tak większa ilość gmin naszego terytorjum. Narazie dobre i to, byle tylko dużo chrześcijan było! Najdalszy to kąt naszego terytorjum. Naokoło piaski, ziemia marna, ludzie biedni. Zwłaszcza w tym roku ciężko im będzie przebyć zimę. Całe armje dzieci i podrostków włóczą się po okolicznych polach z olbrzymiemi koszami na plecach, do których zbierają trawę, korzonki na opał zimowy. Używają go jednak bardzo oszczędnie, tylko do ugotowania strawy, pozatem zimę przepędzają w chłodzie. Nie narzekają jednak na swój los, zawsze spokojni, uśmiechnięci opowiadają o swych biedach. Cały ten teren tworzy jedną parafję — zależy bezpośrednio od Shunteh. Rozrastają się jednak gminy, więc skoro tylko będzie personel, dobrzeby było, gdyby tu osiadł ksiądz. Zbliska dopatrzyłby wszystkich, częściej odwiedzał, bezpośrednio kierował, co oczywiście dobrzeby podziałało na rozrost gmin.

Ponawiam moje życzenia i łącząc serdeczne pozdrowienie, pozostaję w miłości Jezusa i Matki Niepokalanej

pokorny sługa

X. Krauze

n. k. z. M.

Wspomnienia pośmiertne.

Konferencja o ś. p. X. Wilhelmie Józefie Wronie.

X. Wizytator Kryska dnia 19 listopada 1932 r. wrócił z Milatyna. Jest tam X. Sobawa i X. Zieliński. Ponieważ jednak X. Sobawa jest chory, przydzielił X. Wizytator X. Wysockiego do pomocy na stałe, a X. Wronę na parę miesięcy. X. Wronę przywiózł X. Lach ze Lwowa do Milatyna. Po jakich dwóch miesiącach X. Wrona wróci do Lwowa.

Tymczasem już 20 listopada przyszedł telegram od X. Zielińskiego, że „X. Sobawa ma się lepiej, ale X. Wrona dostał porażenia mózgu i dotąd jest nieprzytomny. Przewieziemy go do szpitala". Zaraz X. Wizytator posłał X. Madeja do Milatyna. Gubiono się w domysłach, co się to stało? Przecież jeszcze wczoraj widział go X. Wizytator w pełni sił i zdrowia.

Dnia 22 listopada nadszedł z Milatyna nowy telegram: „X. Wrona umarł dziś. Pogrzeb czwartek rano. Zieliński". Do głębi przejęła wszystkich ta śmierć młodego księdza. X. Wizytator wyjechał na pogrzeb.

We czwartek dnia 24 listopada, kiedy w Milatynie odbywał się pogrzeb ś. p. X. Wrony, odprawiliśmy na Stradomiu nabożeństwo żałobne z asystą. Celebrował X. Superjor a jako diakon asystował X. Sitko, przed czterema dniami (20 listopada) wyświęcony na diakona.

W najbliższy piątek, dnia 25 listopada, przedmiotem konferencji wieczornej były „cnoty ś. p. X. Wrony". Mówili o nim: diakon Całka, minorysta Rzychoń, diakon Sitko oraz X. Śmidoda.

Oto parę szczegółów z życia. Ś. p. X. Wilhelm Józef Wrona urodził się 10 marca 1904 r. w Grabowie powiat Ostrzeszów. Dzień powołania 16 listopada 1922 r. dzień ślubów 27 listopada

1924 r. Tonsurę otrzymał 19 grudnia 1926 r., mniejsze święcenia 16 stycznia 1927 r. i 27 lutego 1927 r., subdiakonat 29 czerwca 1929 r., diakonat 27 października 1929 r., a kapłaństwo 29 grudnia 1929 r. Od r. 1930 przebywał w Domu naszym w Bydgoszczy. We wrześniu 1932 r. przeznaczony był do Ameryki Północnej, nie otrzymał jednak wizy w konsulacie amerykańskim. We Lwowie był od 14 listopada 1932 r.

W czasie konferencji pierwszy przemawiał diakon Całka.

Gdy P. Jezus stanął nad grobem Łazarza, zapłakał. Dlaczego zapłakał? Pismo św. mówi, że dlatego, ponieważ miłował Łazarza i w żalu nieutulonym pogrążone z powodu jego śmierci siostry: Marję i Martę. Jeżeli więc ze smutkiem wspominamy dzisiaj naszego zmarłego konfratra, ś. p. X. Józefa Wronę, to też dlatego, że kochaliśmy Go i że kochamy Zgromadzenie nasze, które stratę poniosło przez śmierć członka swego.

Św. Wincenty, ten doskonały naśladowca Chrystusowy, w tym, zdaje się, właśnie duchu i z takiem usposobieniem urządzał po śmierci każdego członka Zgromadzenia konferencję, na której przypominano sobie lub uświadamiano cnoty, które praktykował zmarły konfrater.

Kiedy mam mówić o cnotach ś. p. X. Wrony, muszę mieć na uwadze to, że był on kapłanem. P. Bóg wezwał go do winnicy swojej na pracę, którą sam jako Słowo Wcielone spełniał na ziemi. „Opowiadać ewangelję ubogim posłał mnie Pan". Tosamo było posłannictwem naszego zmarłego Konfratra. To, co Chrystus Pan zaczął w ziemi Palestyńskiej, to ś. p. X. Wrona tutaj w Polsce dalej prowadził. Ale nietylko tutaj w Polsce, bo duchem był już nawet w Ameryce Północnej, do której wzywało go posłuszeństwo, a do której z pewnością byłby popłynął, gdyby znowu posłuszeństwo nie kazało jechać na wschodnie rubieże Rzeczypospolitej.

Jako kapłan spełniał w cichości cnoty kapłańskie, te którym nikt się nie dziwi, których nikt nawet nie spostrzega, a które jednak Pan Bóg zapisuje w księdze żywota, za które mu z pewnością nagrodę przygotował.

Zanim jednak został kapłanem, przejść musiał przez ciężki żywot klerycki, który już sam z siebie daje okazję do praktyko-

wania wielu cnót. Ś. p. X. Wrona miał o tyle cięższy jeszcze ten żywot, że doświadczył go Pan Bóg chorobą płucną. Kto choć przez krótki czas chorował, wie, ile zawsze łączy się z nią cierpień, nietyle już fizycznych, ile moralnych. Ś. p. X. Józef znosił je cierpliwie, można śmiało powiedzieć, pogodnie Stosunkowo rzadko widziało Go się przygnębionym. W rozmowach ze mną nigdy nie mówił o swej chorobie, co przecież jest zwykłą rzeczą, gdy ktoś słabym się czuje, ale mówił zawsze o swej przyszłej działalności kapłańskiej, wyrywał się do pracy na niwie Pańskiej. Nawet ostatnio, gdy mieszkał na Kleparzu, a nie miał wyznaczonej jeszcze placówki, ubolewał nad tem, że bezczynnie musi siedzieć, że nie może rozwijać czynnej działalności kapłańskiej. Zauważyłem, że już jako kleryk kochał pracę. Za moich czasów mieszkał on na II-giem piętrze w przejściowym pokoju nad furtą. Dość często tamtędy przechodziłem, a zawsze spotykałem go z książką w ręku. Mimo, że mu chodzeniem swojem przeszkadzałem, nigdy jednak nie zrobił mi z tego powodu wyrzutu. Owszem życzliwie zawsze się uśmiechnął.

Te dwie cnoty: cierpliwość i pracowitość najwięcej mnie uderzały w jego krótkiem życiu. Kapłanem był zaledwie trzy lata. Ale wiemy z przypowieści Pana Jezusa o gospodarzu i najemnikach, że i godzinna praca w winnicy Pańskiej zrównana być może z 3-krotnie, 6-krotnie lub 10-krotnie dłuższą, zależy to od łaski Bożej, od miłosierdzia Bożego.

Z miłością więc dla zmarłego Konfratra i dla Zgromadzenia powinienem modlić się w tej intencji, by Bóg udzielił Mu jak najrychlej szczęśliwości niebieskiej, a Zgromadzeniu dał przez to nowego pośrednika u swego tronu.

Gdy Pan Jezus stanął nad grobem Łazarza zapłakał. Zapłakał, ale po chwili powiedział: Łazarzu, wynijdź z grobu — i wskrzesił go. Tak kiedyś wskrzesi i naszego konfratra ś. p. X. Wronę, z którym obyśmy spotkali się wszyscy w niebie.

Potem wywołał X. Superjor kl. Rzychonia:

Przedmiotem dzisiejszej konferencji były cnoty naszego zmarłego konfratra ś. p. X. Józefa Wrony. Dobrze jest przypatrzeć się czasem cnotom nietylko w teorji, nietylko w świętych kanonizo-

wanych, lecz także cnotom konfratrów, na których cnotliwe życie patrzeliśmy własnemi oczyma. Wszakże powiedział któryś Papież: „Pokażcie mi misjonarza, któryby zachował wszystkie reguły, a wyniosę go na ołtarze“. Dlatego powinienem korzystać z dzisiejszej konferencji, poświęconej cnotom ś. p. X. Wrony i z rozważania rysów dodatnich, jakie u niego zauważyłem, odnieść dla siebie korzyść.

Otóż zauważyłem najpierw u zmarłego konfratra ducha pokory i prostoty. Zdarzyło się bowiem, że nie życzył pewnemu konfratrowi awansu na urząd, a gdy ten z woli przełożonych został na ten urząd wyznaczony, ś. p. X. Wrona przyszedł do tego konfratra i z całą pokorą i prostotą przyznał się: „Nie chciałem, abyś ty objął urząd, skoro cię jednak przełożeni wysadzili, składam ci szczere życzenia powodzenia, niech ci Pan Jezus błogosławi“. A kiedy X. Wrona opuszczał mury stradomskie, wtenczas żegnając się z tym konfratrem, przepraszał go za wyrządzenie przykrości oraz dziękował mu za wyświadczone przysługi.

Innym rysem szlachetnym, jaki zauważyłem u ś. p. X. Wrony to gorliwość w służbie Bożej. Ilekroć bowiem ceremonjarz go poprosił, do służenia, nigdy nie odmawiał, ale zawsze chętnie się zgodził i z wielką pobożnością i zbudowaniem krzątał się koło ołtarza pańskiego.

Trzecią cnotą to zapał do prac misjonarskich. Kiedy ostatni raz rozmawiałem z ś. p. Konfratrem, z zapałem opowiadał mi o pracy misyjnej, opowiadał, że udaje się do Ameryki Północnej, aby tam przez pracę na misjach przysłużyć się do dokończenia budowy kościoła bydgoskiego, chcąc się w ten sposób przyczynić do dobra Zgromadzenia.

Otóż wymienione cnoty: pokorę, prostotę, gorliwość w służbie Bożej i pracach misyjnych, które to cnoty składają się na ducha Zgromadzenia, powinienem za przykładem ś. p. X. Wrony praktykować i naśladować.

Trzeci, diakon Sitko, mówił co następuje:

Mało miałem w życiu styczności ze ś. p. X Józefem Wroną; zatem parę tylko słów mogę powiedzieć o zmarłym X. Konfratrze. Po raz pierwszy zobaczyłem go na Stradomiu, dokąd przeniosłem się z Kleparza po odbyciu tamże pierwszego roku seminarjum. Drugi

rok seminarjum miałem właśnie skończyć na Stradomiu. Tam kształcili się i gimnazjaliści i teolodzy. Mnie jako seminarzystę obowiązywała separacja ze starszymi kolegami. Był to więc jeden powód, dla którego nie miałem sposobności zetknąć się bliżej ze zmarłym Konfratrem. Lecz po usunięciu tej przeszkody powstały inne: wielka nieśmiałość, a nadto większy jeszcze szacunek, z jakim młodsi odnosili się zawsze do starszych, zwłaszcza teologów, nie pozwalały mi na bliższe zaznajomienie się ze ś. p. X. Wroną. Ale zdarzyło się raź, że sam X. Wrona zaszczycił mnie swem towarzystwem; dzięki Jego umiejętnemu prowadzeniu rozmowy godzina rekreacji poobiedniej przeszła bardzo szybko. Zauważyłem wtedy, że miał duszę otwartą i współczującą z dolą i niedolą ludzką. Z tem samem nastawieniem duszy odnosił się i do bardzo wielu z nas.

Pozatem z zachowania się Jego zewnętrznego utkwił mi w pamięci mile widziany u wszystkich rys, a mianowicie wesołe usposobienie, które z pewnością było odbiciem wewnętrznej radości, nie tej taniej, ale zdobytej pracą nad sobą samym. Był bowiem o tyle nieszczęśliwy, że miał śmiercionośną towarzyszkę życia: chorobę płucną. Ś. p. X. Wrona zdawał sobie sprawę ze swego niebezpiecznego stanu, a jednak tak potrafił się opanować, że pogody ducha, zda się nie tracił nigdy. Nic też dziwnego, że cieszył się ogólną sympatją wśród znających Go.

Oto kilka spostrzeżeń, które mogłem poczynić z smutnej okazji śmiertelnego zejścia Drogiego X. Wrony.

Wreszcie X. Smidoda:

Są czasem w życiu chwile, bywają zdarzenia, które do głębi wstrząsają umysłem i sercem człowieka. Im bardziej taki wypadek jest nagły, im mniej oczekiwany, im osobę nam bliższą spotka, tem i wrażenie jest większe; czasem tak wielkie, że stanowi w życiu osób bliskich przełom, że zapisuje się na dnie ich serca niezatartemi literami.

Podobny wypadek zdarzył się u nas w ostatnich dniach. W sobotę, tuż po południu przyszedł na Stradom smutny telegram z Milatyna, że X. Józef Wrona, który tam wyjechał w piątek ze Lwowa, nagle ciężko zachorował na paraliż mózgu, czy

też zapalenie opony mózgowej i leży tam bez przytomności. — Słowa zamarły na ustach, smutek głęboki uwidocznił się w oczach i twarzy wszystkich, gdyż dopiero kilka dni temu widziano go tu wesołym i zdawałoby się zupełnie zdrowym. Wyczekiwano też co chwilę pomyślniejszej wiadomości o nim, że przytomność odzyskał, że wraca do zdrowia i zabierze się wnet znów do pracy ze zwykłym swym wielkim zapałem, jak dawniej. Tymczasem nadchodziła smutna wieść po wieści, aż wreszcie przyszedł we wtorek w tych samych godzinach po południowych co w sobotę telegram, że X. J. Wrona zmarł. Wrażenie ostatnich dni jeszcze się teraz pogłębiło, tembardziej, że dodano, iż od piątku leżał bez przytomności i nie odzyskał jej przed śmiercią.

Imię ś. p. X. J. Wrony zawisło teraz na ustach wszystkich. Mówiono o nim, zainteresowano się żywo jego osobą, studjami, kiedy został księdzem, skąd pochodził, zainteresowano się jego życiem i czem się wśród innych wyróżniał. Dwóch z księży Konfratrów, Kolegów jego kursowych i Najczcig. X. Wizytator udali się do Milatyna, by tam wyświadczyć mu ostatnią przysługę i odprowadzić go na miejsce, gdzie miał spocząć na zawsze. Ci, którzy pozostali w domu, lecz znali go i pamiętali doskonale, starali sobie przypomnieć chwile z nim razem spędzone, przypomnieć, czem ich ku sobie pociągał. I ja również starałem się stworzyć sobie ciągły obraz życia ś. p. X. J. Wrony od pierwszych lat, kiedy go poznałem, aż do chwil ostatnich. Zauważyłem wtedy, że obraz ten nie jest zupełnie dokładny i wyczerpujący, jużto dlatego, że czasem nie widywałem go całe lata zupełnie, już też dlatego, że żyjąc nawet razem, mało się z nim stosunkowo stykałem. Niemniej jednak zauważyłem u niego pewne przymioty charakteru i cnoty, które nas winne budować, któremi dał nam przykład.

Na Nowej Wsi zdawało się, że był jednym z wielu, że się niczem wśród innych nie wyróżniał. Kto się jednak do niego nieco zbliżył, mógł zauważyć, że wyróżniała go niezwykła pogoda ducha i radość. Pracował też pilnie i mówił czasem, jak bardzo zależy mu na tem, by mógł zawieść dobre świadectwo rodzicom, gdy pojedzie do domu na wakacje. Pracował pilnie, chociaż mu czasem przyszło dość ciężko zdobyć notę dobrą. Nie zniechęcał

się też nigdy, gdy mu się czasem w nauce nie powiodło, lecz powstawał znów z pogodą i uśmiechem na twarzy i szedł niezmordowanie dalej. Wspomniana pogoda ducha i radość były zapewne wrodzone ś. p. X. J. Wronie, lecz później miały się one z ustalaniem charakteru, z rozwojem ducha i ciała przemienić w cnotę.

Z Nowej Wsi przeszedł ś. p. X. J. Wrona na Stradom, by odbyć seminarjum i kontynuować równocześnie studja gimnazjalne. W tym czasie zaczął zapadać na gruźlicę. Z początku zdawało się, że niebezpieczeństwo niewielkie. Tymczasem okazało się wnet, że z chorobą jego coraz gorzej, że musi iść do szpitala. Tam zamiast się polepszyć pogarszał się stan jego zdrowia coraz bardziej i wreszcie oświadczył lekarz, że na dni, prawie już na godziny jest jego życie policzone. Gdy klerycy chodzili go odwiedzać mówił im ówczesny X. Superjor, a obecny X. Wizytator. by mu w rozmowie podsuwali delikatnie myśl śmierci, gdyż dni jego są policzone, chyba że Bóg dobry wróci mu cudem zdrowie I otóż uderzały kleryków, gdy się doń udawali, pogoda na jego twarzy i uśmiech serdeczny, jakim witał tych, którzy do niego przybywali, chociaż wiedział dobrze, bo mówił mu to i lekarz mówiły Siostry Miłosierdzia i klerycy bardzo delikatnie, że już najprawdopodobniej z tej choroby nie wyjdzie. Pomimo tego wszystkiego, nie tracił jednak ś. p. X. J. Wrona nigdy równowagi ducha, zgadzając się zupełnie z wolą Bożą. Nie było u niego w ciężkiej chorobie i w cierpieniu ani śladu apatji i pesymizmu, ani śladu niewłaściwej rezygnacji. Uśmiech na jego ustach i pogoda na twarzy świadczyła w obliczu śmierci, że są to objawy cnoty nie często spotykanej. Zauważyłem, że się tem wszystkiem klerycy niezwykle budowali, że mówili do siebie o tem i podkreślali, jako coś nader rzadkiego.

Dalej chciałbym zwrócić uwagę na jedną szczególnie cechę jego cnoty i wyrobienia, a mianowicie, że nie zauważyłem nigdy, ani na Nowej Wsi, ani na Stradomiu, w chorobie i w smutku, w doli i niedoli jego, żeby się był komuś kiedykolwiek skarżył na cierpienia duszy, czy ciała. Jest to jedna z cnót Boskiego naszego Zbawiciela, którą ludzie tak mało widzą, tak mało naśladują. A przecież i pod tym względem dał nam P. Jezus przykład.

Nie czytamy nigdzie w ewangelji św. by się P. Jezus kiedykolwiek skarżył w znaczeniu takiem, jak to zwykli czynić ludzie. Ale i On się skarżył. Skarżył się, kiedy mówił do Ojca Swego niebieskiego! „Ojcze mój, jeśli można rzecz, niechaj odejdzie odemnie ten kielich", lecz dodaje „wszakże nie jako ja chcę, ale jako Ty". Skarżył się, gdy mówił do Apostołów i ludu, który szedł za nim: „Lisy mają jamy i ptaki niebieskie gniazda, a Syn człowieczy niema, gdzieby głowę skłonił". Ale była to skarga, którą nam u Jezusa naśladować wolno, była to skarga, która nie pozbawia zasługi cierpienia i krzyża. I otóż, jak wspomniałem wyżej, nie zauważyłem ani razu, by się X. J. Wrona był skarżył tą skargą, która szkodzi duszy i pozbawia ją zasług cierpienia. Jestem przekonany, że pochodziło to z cnoty, niecodziennie spotykanej; jestem przekonany, że dobry Bóg da mu w niebie szczególną nagrodę za to, że słowo skargi nie powstało nigdy na ustach jego.

Mówiłem, że od początku poznania ś. p. X. J. Wrony na Nowej Wsi uderzyła mnie jego pogoda ducha i radość życia, radość, ktora nie była tylko pozorem, lecz wyrazem serca jasnego, pięknego i szlachetnego. Z tą radością i pogodą szedł przez życie całe, z nią też stanął u tronu Wszechmocnego.

Pamiętam pewien obraz, a raczej szczegół z życia św. Teresy od Dzieciątka Jezus, który mi się dziwnie głęboko zapisał w sercu i w pamięci. Otóż, gdy św. Teresa była jeszcze maleńką dziewczynką, pragnęła już gorąco swe życie, duszę swą i ciało poświęcić ku chwale Jezusowi. Raz, gdy nie było w pokoju nikogo, uklękła przed Jezusem rozpiętym na krzyżu na ścianie, wzniosła rączki swe i oczka do niego i powiedziała: Jezu dobry, zerwij — proszę Cię — kwiat życia mego ku Twej chwale. — Jak tam, tak i tu — gdy całem swem życiem mówił Jezusowi ś. p. X. J. Wrona to, co mówiła św. Teresa mała — zniżył się z krzyża Boski Zbawiciel i zerwał kwiat życia jego, by nim ozdobić tron swej chwały w niebie.

Oto, co przypomniało mi się z życia ś. p. X. J. Wrony, kiedy przyszła smutna wieść o śmierci jego i dziś, gdy Czcigod. X. Superjor polecił wszystkim zwrócić na niego uwagę, przypomnieć sobie jego życie i postać i to czem nam dał przykład.

Wspomnienia o ś. p. Siostrze Józefie Zofji Annie Prądzyńskiej z Domu centralnego w Chełmnie, zmarłej d. 24 czerwca 1924 r. w szpitalu Św. Wincentego w Tczewie, mając 62 lat wieku, 36 powołania.

Bolesne echo rozniosło 2-go czerwca 1924 roku po Domach prowincji chełmińskiej smutną wiadomość o zgonie ś. p. Siostry Józefy Prądzyńskiej, od czterech lat dopiero Wizytatorki tejże prowincji. Zdrowia słabego, które nadwątliły jeszcze w ostatnim czasie ataki sercowe, po rekolekcjach licznych, które się zakończyły 31-go maja w Domu centralnym, zamierzała wyjechać na kilka dni do Gdyni, by następnie odbyć wizytę Domu w Wejherowie. Tczew leży po drodze, a że Jego Eminencja X. Kardynał Dalbor prosił ją, kiedy była na rekolekcjach w Poznaniu, by mógł zamieszkać u Sióstr naszych w szpitalu św. Wincentego podczas pierwszego Kongresu Katolickiego, jaki się na Pomorzu odbywał, Siostra Prądzyńska wstąpiła tamże, by złożyć hołd wdzięczności Książęciu Kościoła, którego nadzwyczajnej życzliwości doznawała w czasie pobytu swego w jego diecezji.

Tamto śmierć nagła ją zaskoczyła. — Rozmawiając z Najprzewielebniejszym X. Arcybiskupem o sprawach Domów, które go zajmowały: „Eminencjo, — rzekła — gdybym była wiedziała, że ten krzyż przełożeństwa tak jest ciężki, nie byłabym miała odwagi go przyjąć!“... I wymawiając te słowa, pochyliła głowę, osunęła się z krzesła i piękna jej dusza uleciała do Boga. Napróżno wszelkich używano środków, by ją ocucić, X. Kardynał zdążył tylko udzielić jej ostatnią absolucję, sekretarz jego pośpieszył z Olejami świętymi...

Nazajutrz, zaledwie dnieć zaczęło, o godzinie 3-ciej rano, wśród płaczu Sióstr zbolałych, śmiertelne szczątki nieodżałowanej Siostry Wizytatorki wracały do Domu centralnego, z którego była wyjechała dwa dni przedtem.

Siostra Prądzyńska urodziła się 25-go stycznia 1862 roku w Wałdowie, na Pomorzu, z rodziny ziemiańskiej, szczerze katolickiej i szczerze polskiej, toteż wzrastała w tej atmosferze miłości do Kościoła świętego i do Ojczyzny, której przykład miała w przodku swoim, dzielnym jenerale Prądzyńskim i stryju, Kanoniku Prądzyń-

skim z Pelplina. W domu rodzinnym wszystko uczyło ją cnoty; od lat dziecięcych odznaczała się nadzwyczaj spokojnem i łagodnem usposobieniem, co pozostało też główną cechą jej charakteru przez całe życie. Uprzejmością swoją i słodyczą jednała sobie miłość całego otoczenia. Ale w naukach szło jej trudno, tak, że z wielkim tylko mozołem i wysiłkiem bardzo sumiennej pracy mogła podążyć za młodszem swem rodzeństwem; wielkie natomiast czyniła postępy na drodze cnoty: posłuszna, nigdy rodzicom swym nie dała powodu do surowszego upomnienia; pełna zaparcia się siebie, ustępowała rodzeństwu, tak, że nigdy nie miała najmniejszej sprzeczki, lub nieporozumienia, jakie się nieraz zdarzają wśród licznej i żywego usposobienia dziatwy. Kiedy miała lat trzynaście oddano ją wraz z dwiema młodszemi siostrzyczkami na pensję Matki Boskiej Anielskiej w Kościerzynie, będącej pod dyrekcją Sióstr naszych. Służebną tego Domu była ś. p. Siostra Meszyńska, a kierowniczką nauk ś. p. Matylda Sumińska, która od pierwszej chwili szczególną opieką otoczyła tę nieśmiałą uczeniczkę. Niedługo jednak cieszyła się ona tem swobodnem życiem bez trosk pod okiem dobrych Sióstr; wkrótce bowiem rodzice, wskutek strat materjalnych, zmuszeni byli sprzedać majątek rodzinny na Pomorzu i przenieśli się pod Warszawę. A nie będąc w możności łożyć na kosztowne wychowanie córek, odebrali je z pensji, by uzupełnić ich wykształcenie nauką domową. Po nie jakim czasie pani Prądzyńska stale zamieszkała w Warszawie dla nauki młodszych dzieci, a nasza ukochana Siostra, która zawsze okazywała wiele zamiłowania do gospodarstwa, pozostała na wsi z ojcem i dom cały prowadziła. Z tego to czasu młodsze jej rodzeństwo wiele miłych zachowało wspomnień, świadczących o jej wielkiej dobroci serca. „W każde święta i wakacje — opowiada jedna z jej sióstr — zjeżdżaliśmy na wieś do Stanisławowa, a nasza droga Józia myślała tylko o tem, jakby nam ten pobyt uprzyjemnić. Umiała odgadnąć, czem komu zrobić przyjemność, czem dogodzić, co kto lubi, sama często pozbawiała się jakiegoś przysmaku na korzyść młodszego rodzeństwa, a czyniła to wszystko z anielską pogodą. Nieraz snu sobie ujęła, by nam coś sporządzić, przyszyć, uprasować, nie chcąc nigdy, by jej za to dziękowano". W młodej tej duszy zaczynały już kiełkować cnoty praw-

dziwej córki Miłosierdzia i powoli odezwało się powołanie; w ośmnastym roku życia oświadczyła rodzicom zamiar wstąpienia do Zgromadzenia naszego, lecz matka, lubo pobożna, stanowczo się temu oparła, dla młodego jej wieku, chcąc, by wpierw życie i świat poznała. Trzeba jej więc było czekać całe pięć lat, zanim upragnione pozwolenie uzyskała.

W 1888 roku, po trzech miesiącach gorliwie odbytego postulatu, posłana została do Domu macierzyńskiego, bowiem od początku „walki kulturnej", rząd pruski kazał zamknąć Seminarjum w Chełmnie. Czas ten tak drogi dla serca każdej córki Miłosierdzia, pozostał na zawsze najmilszem wspomnieniem ukochanej naszej Siostry; od pierwszej chwili poświęcenia się Bogu, miała sobie za święty obowiązek, bardzo sumiennie pracować nad swem udoskonaleniem. I postępy jej w cnocie były widoczne, nie zatrzymała się nigdy, umiała korzystać tak z wielkich, jako i z małych okazyj, by w zasługi dla nieba wzbogacić swą duszę.

Wróciwszy po wzięciu sukni świętej do Polski, Siostra Prądzyńska umieszczona została w Pelplinie, w Szpitalu św. Józefa, gdzie nieodżałowana ś. p. Siostra Sumińska sama bardzo poważnie rozumiała i praktykowała cnotę i młodsze towarzyszki także do tego zaprawiała. Siostra Józefa uczuła się tu w swoim żywiole. Jedno tylko ją niepokoiło, to myśl, że będzie tam narażona na częstsze obcowanie ze swą rodziną, stryj jej bowiem był kanonikiem w Kapitule pelplińskiej, a obrawszy Boga za jedyną swą cząstkę, dusza ta gorąca nie chciała już nic uszczknąć ze swej ofiary; pilnie dlatego czuwała nad sobą, by energicznie usuwać wszystko, coby mogło szkodzić jej ścisłemu zjednoczeniu z Bogiem. Umiała tamę położyć częstym wizytom, delikatnie dając do zrozumienia swoim, że czas już do niej nie należy, ale do Zgromadzenia i ubogich. Poźniej, kiedy mianowana była Wizytatorką, a sprawy różne nieraz wzywały ją do Warszawy, gdzie mieszkała jej sędziwa, ośmdziesiąt trzy lata mająca matka, która usilnie dopraszała się, by mogła raz jeszcze widzieć tę ukochaną córkę, Siostra Prądzyńska, lękając się, by w tem nie było zadowolenia naturalnego, tak się zawsze umiała urządzić, że posłała którą z Sióstr Urzędniczek, dla załatwienia tego interesu. I w za-

ufaniu mówiła: „Jestem obowiązana pełnić sama to, czego wymagam od Sióstr“.

W Pelplinie powierzono ukochanej naszej Siostrze nasamprzód salę chorych, a kiedy, po kilku tygodniach zwierzyła się swej Siostrze Służebnej, że doznaje niepokoju widząc i słysząc różne rzeczy, do jakich nie była przyzwyczajona, ta odpowiedziała jej krótko: „Bardzo dobrze! to Siostra pójdzie do kuchni i tam nic podobnego widzieć i słyszeć nie będzie“! I tak, bratanka pierwszego Administratora Szpitala poszła do tego urzędu, który wypełniała z największem poświęceniem i radością aż do dnia, w którym mianowaną została Siostrą Służebną Infirmerji dla kleryków w Seminarjum dyecezjalnym w Poznaniu. Ale wtedy obawa jej przed przyjęciem odpowiedzialności była daleko większa, aniżeli ta, jakiej doznała przy rozpoczęciu dzieł powołania.

W owym czasie rząd pruski nie dawał żadnego pozwolenia na przyjęcie nowych Domów w prowincji chełmińskiej. Powołania jednak były tam bardzo liczne i trzeba było wysyłać je do sąsiednich prowincyj. Naprowadziło to Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa Stablewskiego na myśl, żeby poprosić o Siostry do Infirmerji kleryków i do zarządu ogólnego westjarnią i gospodarstwem Seminarjum diecezjalnego. A że jako proboszcz Wrześni, był przez lat dwadzieścia posłem do Parlamentu w Berlinie i szczególnych względów cesarzowej doznawał, zrobiono wyjątek dla niego i uzyskał prawne pozwolenie rządu na sprowadzenie z Chełmna Sióstr do Seminarjum. Ale dzielo to nie jest dziełem Zgromadzenia, lecz Najprzewielebniejsi Przełożeni, licząc się z trudnemi podówczas warunkami prowincji, przyjęli je, pod tym jednakże warunkiem, że jedna Siostra będzie odwiedzała ubogich w tej części miasta.

Położenie jednak było tam delikatne i trzeba było dobrać Siostrę Służebną o wielkiej roztropności, przejętą na wskróś duchem powołania, ażeby godnie odpowiedzieć zaufaniu Pasterza diecezji i honor przynieść ukochanemu Zgromadzeniu. Wybór Przełożonych padł na Siostrę Prądzyńską, która miała wtedy zaledwie ośm lat powołania. Czternaście lat, jakie w tym Domu, ku ogólnemu zadowoleniu przepędziła, zjednały jej uznanie i szacunek wszystkich, z którymi tam miała do czynienia. Dla X. Pro-

fesorów była zawsze z głęboką czcią i poważaniem; postępowanie jej nacechowane było wielkim taktem w stosunkach koniecznych z nimi, do jakich z urzędu była zobowiązana: zawsze z godnością i krótko kończyła rozmowy. Chociaż nigdy się nie oszczędzała, zakres jej działalności był jednak bardzo szczupły. Jedną z największych jej pociech było, że uprosiła sobie pozwolenie dawania obiadu trzydziestu ubogim, którym zawsze sama porcje wydzielała. W zajęciach codziennych nie odróżniała się w niczem od swych towarzyszek, owszem, wybierała sobie zawsze to, co najmozolniejsze i najniższe; często obierała jarzyny i pomywała statki kuchenne. Czas wakacyj nie był bynajmniej czasem wypoczynku dla tych czterech Sióstr kochanych, zwykle bowiem odbywały się wtedy rekolekcje XX. Proboszczów, a po nich rekolekcje nauczycieli szkół elementarnych, których Najprzewielebniejszy X. Arcybiskup na te święte ćwiczenia do Seminarjum zapraszał.

Domowników otaczała prawdziwie macierzyńską miłością i troskliwością; po ukończeniu pracy zgromadzała dziewczęta w kaplicy, na wieczorny pacierz, starała się dla nich o wytchnienie i uprzyjemnienie im życia, a mianowicie dbała o ich dusze, ucząc je własnym przykładem i słowem, jak swe zajęcia mają uświęcać.

Tymczasem Bóg dobry sposobił dla niej cięższe jeszcze krzyże. Po śmierci bardzo zasłużonej w prowincji, ś. p. Siostry Ireny Łuszczewskiej, Przełożeni powierzyli zarząd Domu św. Józefa w Poznaniu, kochanej Siostrze Prądzyńskiej. Tu dopiero otwiera się dla niej obszerne pole pracy i działania; szerokiem swem sercem obejmuje liczne dzieła, jakie mieści ten Dom Miłosierdzia; dla wszystkich przystępna, pełna dobroci, jedna sobie wielkich i małych. Praktyczna znajomość gospodarstwa wskazała jej potrzebę własnego kawałka ziemi dla tak wielkiego zakładu, to też uzyskawszy potrzebne upoważnienia i całą swą ufność oparłszy na nieprzebranych skarbach Opatrzności, nabyła mały folwarczek tuż pod miastem, który wielką okazał się pomocą do utrzymania jej licznego personału.

Przepędziła na czele tego Domu lat dziesięć, ciężkich lat wojennych, w czasie których trzeba było w Polsce, pod wrogimi sobie zaborcami, niesłychanej używać roztropności, by mimo

wszystko, utrzymać stosunki z zagranicą. Przywiązanie jej do Przełożonych Wyższych, do Domu macierzyńskiego, czyniło ją przemyślną w wyszukiwaniu różnych sposobów, by mieć wiadomości stamtąd i udzielać je więcej jeszcze rządowi pruskiemu, podejrzanemu Domowi centralnemu w Chełmnie. Raz dowiedziała się, że Siostra jedna z Warszawy, którą wojna zaskoczyła w Paryżu, wracać będzie przez Szwajcarję do Polski, ale że jest cierpiącą, dobrzeby było, gdyby kto po nią tam przyjechał. Było to w końcu 1915 roku. Jakaż pociecha! A więc wolno jej jechać do Fryburga! Dowie się nareszcie o Paryżu, wszystkiego, co tak drogiem jest każdej córce Miłosierdzia! Razem ze Siostrą Służebną Szpitala Przemienienia Pańskiego uzyskały paszporty od władz wojskowych i pośpieszyły natychmiast na miłe spotkanie. Tymczasem, jakiż zawód... granica francuska została zamknięta na tydzień, jak się to nieraz w owym czasie działo: ani osoby, ani listy, ani nawet telegramy w tę, lub ową stronę, przebywać granicy niemogły, i nieustraszone nasze podróżne, które miały pozwolenie tylko czterdzieści ośm godzin przebywać zagranicą, same wrócić musiały do Poznania, ale przynajmniej szczerze i otwarcie napisały do Najprzewielebniejszej Matki, czego przez cały czas wojny czynić nie mogły.

W roku 1920, po śmierci ś. p. Siostry Giersberg, Wizytatorki chełmińskiej, Bóg dobry umieścił Siostrę Prądzyńską na czele prowincji. Był to krzyż ciężki dla jej pokory i usposobienia cichego, podjęła go mimo to odważnie, z miłości ku Bogu i ukochanemu Zgromadzeniu. Wiedziała, że życie jej odtąd stanie się drogą ciernistą, wiodącą na Kalwarję, że słabe jej zdrowie nie wytrzyma długo pod ciężkiem brzemieniem tak odpowiedzialnych obowiązków, lecz raz uczyniwszy z życia swego ofiarę Bogu, chciała się całkowicie wyniszczyć dla Niego, nie cofnęła się zatem przed krzyżem, który jej posłuszeństwo nałożyło i nie skarżyła się, ale u stóp ołtarza czerpała potrzebną siłę i światło, by sprostać nowym swym obowiązkom.

Przybywszy w maju do Chełmna, z całem poświęceniem i zaparciem się siebie, zabrała się do pracy: rekolekcje Sióstr, wizyty domów, troska o utrzymanie w bardzo trudnem położeniu materjalnem będącego Domu centralnego, pochłaniały czas jej

i siły. Siostra Prądzyńska objęła swój urząd w chwili, w której dla Zgromadzenia szerokie otwierało się pole pracy w odrodzonej naszej Ojczyźnie. Czternaście nowych domów utworzyło się w czasie jej krótkiego, bo czteroletniego zarządu; wysyłanie Sióstr do tych nowych zakładów, wyposażenie ich w tym ciężkim czasie, przeprowadzenie zmian z tego wynikających, niemało sprawiało jej trosk i kłopotów. Mimo to nigdy nie upadała na duchu, w każdem zdarzeniu upatrywała świętą wolę Bożą i umiała jej się poddawać z budującym duchem wiary, a nawet swobodnie. Trudy urzędu coraz więcej podkopywały wątły jej organizm, rwała się jednak do czynu, nie zważając na siebie, nie chcąc się ochraniać, chociaż ją o to proszono; zamierzała nawet wybrać się do Brazylji, dla zwizytowania tamtejszych domów swej prowincji; siłą woli trwała na posterunku, mając na celu jedynie wypełnienie obowiązku, chociażby kosztem sił ostatka. Zdawało się nieraz, że Bóg cudownie utrzymuje ją przy życiu, ale On, który łaską Swą ją wspierał, był także sam jeden śwtadkiem jej zaparcia się siebie i gwałtu, jaki sobie zadawała, by przed najbliższem nawet swem otoczeniem ukryć znużenie swe i wyczerpanie fizyczne. Nigdy się nie skarżyła, nie lubiła wogóle mówić o sobie, a kiedy nieraz Siostry urzędniczki zaniepokojone jej widocznem osłabieniem, troskliwie dopytywały, czy nie czuje się cierpiącą, zbywała je wymijającemi odpowiedziami, lub zmieniała przedmiot rozmowy.

Są osoby udarowane od Boga pięknemi zaletami duszy, a zarazem posiadające tyle zewnętrznych zalet, że odrazu zyskują sympatję każdego; są inne niemniej doskonałe, o cnocie głębokiej, ale ukrytej, która dopiero przy bliższem poznaniu jedna im miłość i szacunek. Do tych ostatnich należała Siostra Prądzyńska. Nie umiała wylewać się na zewnątrz, mało mówiła, ale żyjąc z nią dłużej, można było ocenić, jakich wzniosłych i delikatnych uczuć była piękna ta i delikatna dusza. Im więcej ubywało jej sił fizycznych, tem więcej rozwijało się w niej życie nadprzyrodzone. Ustawicznem dążeniem jej było dojść do jaknajściślejszego zjednoczenia z Bogiem, upatrując Go we wszystkiem i pamiętając o świętej Jego obecności; to też trwała zawsze w skupieniu, którego nie mąciła mnogość spraw przeróżnych. Raz, kiedy Siostry rozmawiały pomiędzy sobą o śmierci, jedna z nich zapytała Siostrę

Wizytatorkę, czy obawia się tej ostatniej chwili: „Staram się żyć zawsze w połączeniu z Bogiem, odrzekła, a przez śmierć to połączenie stanie się jeszcze silniejsze, a więc jej się nie obawiam".

Najmilsze jej chwile były te, które przepędzała w kaplicy, a chociaż nieraz bardzo była cierpiąca, nie chciała, mimo, że ją proszono, spoczywać rano, by się nie pozbawić Mszy i Komunji św.

Ukochana Siostra Prądzyńska w wysokim stopniu posiadała trzy cnoty, które św. Wincenty pragnie widzieć w każdej swej córce: lubiła życie ukryte, o sobie miała jaknajniższe rozumienie, niczego dla siebie nie wymagała, unikała wszelkich oznak szacunku, zapomniała niejako o swem stanowisku. Zato dla innych, mianowicie dla Sióstr wiekiem starszych, była z wielką czcią, wysuwając je na pierwsze miejsce, a sama wysuwała się za nie. W milczeniu znosiła słowa przykre i dokuczliwe i za przykładem Boskiego Mistrza, nigdy nie pamiętała doznanych uraz. Sama korzystała z każdej okazji, by się upokorzyć, a jeżeli się zdarzyło, że nieco surowiej upomniała którą Siostrę, nie wahała się przeprosić ją na kolanach. Jedna z Sióstr starszych, która dziesięć lat pod jej kierownictwem przebyła w Poznaniu, powiada, że ilekroć szła ją prosić o pozwolenia miesięczne, czcigodna jej Siostra Służebna mówiła: „Proszę, niech mi Siostra kochana powie, co u mnie uważa niedobrego, żebym się mogła poprawić". A czcigodny X. Dyrektor prowincji chełmińskiej, mówiąc o niej powiedział: „Odebrawszy z Paryża nominację Siostry Prądzyńskiej na Wizytatorkę, poszedłem uwiadomić ją o decyzji Najprzewiebniejszych Przełożonych. W głębokiej swej pokorze, czując się niegodną ich zaufania, powiedziała mi wszystko, co tylko złego o sobie wiedziała od lat najmłodszych, ze łzami mówiąc: „Niech Ojciec patrzy kogo wybrano i kogo ma przed sobą!".

Prostotą nacechowane było całe jej postępowanie. Boga miała jedynie na celu i kierowała się tylko zasadami Ewangelji; nie wahała się powiedzieć prawdy, chociażby się tem nawet narazić miała. Nie znała co obłuda, wzgląd ludzki, szła zawsze prosto do Boga. Nie podobało się to może czasem zbyt czułym dla siebie naturom, ale po zastanowieniu uznawały, że są w błędzie i odnosiły się do drogiej Nieboszczki z całkowitem zaufaniem.

Mówiłyśmy już o jej miłości ku Bogu, przyjrzyjmy się teraz

jej miłości ku Zgromadzeniu i ubogim. Ceniąc sobie wielce łaskę niezrównaną powołania świętego, całem sercem ukochała wszystko, co dotyczyło obu naszych Rodzin i miłość tę starała się przelać w serca swych towarzyszek. Ściśle wierna Regule świętej, bolała nad jej przekroczeniem, często powtarzając swemu otoczeniu słowa św. Wincentego: „Zachowujmy nasze Reguły, a one nas zachowają!". Zwyczaje seminaryjskie sumiennie były przestrzegane w jej Domu; konferencje piątkowe, powtórzenia rozmyślania, kwadrans wieczorny — wszystko się odbywało z wzorową punktualnością. Nie spuszczając się na swą pamięć, prosiła towarzyszek, by jej przypominały przypadające nowenny, czytania, rozmyślania na pewne uroczystości, ażeby nic nie zaniedbać.

Czciła i kochała Przełożonych, odnosząc się zawsze do nich z głębokim duchem wiary. Słowa ich, życzenia i rozkazy były dla niej słowami, życzeniami i rozkazami Boga samego. Aby je wypełnić, żadna przeszkoda jej nie wstrzymała — chodziło jej o to, by otrzymać nagrodę za ochotne i skore posłuszeństwo. Znając jej niewyczerpane poświęcenie dla Zgromadzenia, powierzano jej nieraz Siostry chore, albo zmęczone, o usposobieniu niełatwem, albo dusze zniechęcone. Ona z najczulszą troskliwością dla każdej znosiła je z pobłażliwością, dużo poświęcała im czasu i dobrocią swoją ileż to uratowała powołań zachwianych, ile dusz moralnie osłabionych doznało przy niej ulgi i zachęty do energicznego odnowienia się w duchu świętego powołania.

Jeżeli dostrzegła jakie nieporozumienie pomiędzy Siostrami, chciała, ażeby się zaraz przeprosiły, przytaczając zalecenie Ewangelji: „Jeśli brat twój ma nieco przeciw tobie, idź, pogódź się z nim, zanim złożysz dar swój u ołtarza". — „Widząc moją drażliwość, — pisze jedna z dawniejszych jej towarzyszek — Siostra nasza dała mi urząd zakrystjanki, ale i tu mój brak czuwania nad sobą dowodził, że niedość staram się o uświęcenie własne; zawołała mnie przeto do siebie i dała do zrozumienia, że napróżno zadaję sobie wiele trudu, bo to nie dosyć utrzymywać porządek w kaplicy i przyozdabiać ołtarze, skoro się nie staram o przyozdobienie mej duszy w cnoty; a obawiając się, że mnie ta uwaga urazi, dodała zaraz, że zrobiła ją tylko dla dobra mej duszy. Te słowa do śmierci pozostaną mi w pamięci".

Wielkie wzbudzała zaufanie dla swej dyskrecji; nigdy nie mówiła przed Siostrami o wadach swych towarzyszek, a jeżeli czasem jedna na drugą przed nią się użalała, tłómaczyła nieobecną i uniewinniała, starając się zawsze w powierzonej sobie rodzinie utrzymać jedność i harmonję. Szczególną troskliwością otaczała młode Siostry, miewała z niemi w niedziele Katechizm, objaśniała obowiązki powołania świętego, a przedewszystkiem jaknajstaranniej przysposabiała je do pierwszych Ślubów. Miłując gorąco obie Rodziny św. Wincentego, niemniej poświęcenia okazywała czcigodnym Księżom Misjonarzom, zwłaszcza podczas wojny, kiedy to, mianowicie młodsi, zmuszeni byli wiele miesięcy żyć poza Zgromadzeniem. Wtedy to Dom św. Józefa w Poznaniu był dla nich jakoby domem rodzinnym, gdzie zawsze serdeczne przyjęcie ich czekało.

Kochała ubogich i niezmiernie wiele dobrodziejstw im świadczyła, ale po cichu, tak, jak chciał Pan Jezus. Jakże delikatnie wspierać umiała tych, co się wstydzą żebrać. — On Sam objawi to w niebie. — Osobiście bardzo skrupulatnie przestrzegała święte ubóstwo; poprzestawała na tem, co najkonieczniejsze, a kiedy, jako Wizytatorka, przyjechała do Chełmna, miała jeszcze część wyprawy swej z Seminarjum, rzeczy już wytarte, ale dobrze posporządzane.

W notatkach z ostatnich rekolekcyj, które odprawiała w grudniu 1923 r., pisała sobie: „Na długie życie liczyć nie mogę — czy za rok będę jeszcze na ziemi? — Może Bóg zażąda odemnie rachunku z obowiązków ciężkich i trudnych. Trzeba więc, bym się dobrze modliła, prosząc Ducha św. o światło do wypełnienia jak najlepiej moich obowiązków. Błogosławiona Matka uprosi mi tę łaskę, a św. Józef i św. Wincenty wspierać mnie będą, bym wszystko przyjmowała w duchu wiary, jako pochodzące z ręki Boga, a tem gotować się będę do dobrej śmierci".

Myśl o wieczności stale jej towarzyszyła, a kiedy w ostatnich miesiącach Bóg nie szczędził jej krzyżów i dotkliwych przeciwności, mówiła do jednej Siostry: „Mego życia już niedługo, bo przekonałam się nieraz, że kiedy Bóg doświadcza kogo w ten sposób, to zawsze na krótko przed śmiercią, by go oczyścić i oderwać od wszystkiego". Jeżeli więc śmierć nagła ją zaskoczyła,

to cios ten nie był niespodziewany; mężnie dokonała swego zadania, pracowicie używając talentów powierzonych sobie przez Ojca Rodziny. Czyż nie możemy myśleć, że Pan spojrzał na nią i powołał do Siebie, przemawiając do niej słowami, które Pismo św. kładzie w usta króla: „Oczy moje na wierne na ziemi, aby siadali ze mną: chodzący drogą niepokalaną, ten mi służył". (Ps. 100 — w. 6).

Z piśmiennictwa.

X. Franc. Bączkowicz C. M.: „Prawo kanoniczne". Tom. I, wyd. 2, przejrzał i poprawił X. Józef Baron C. M. Kraków 1932, XX. Misjonarze 8⁰ str. XIII+589.

Pierwsze wydanie podręcznika przedwcześnie zmarłego X. Bączkowicza wymagało bezsprzecznie gruntownej rewizji. Zadanie to było niełatwe, podjął się go jednak następca autora na katedrze prawa kanon. w instytucie teologicznym XX. Misjonarzy w Krakowie i wywiązał się z niego znakomicie. Poczyniwszy drobne, a szczęśliwe przesunięcia w układzie, nadał przez to książce większą przejrzystość; przedewszystkiem zaś poprawił tekst, starając się o czystość i piękność stylu i o większą zwięzłość, przyczem jednak szczęśliwie uniknął nieścisłości, będącej często wynikiem zbytniej troski o zwięzłość. Terminologja prawnicza jest bez zarzutu. Na każdej niemal stronicy uderza czytelnika doskonałe opanowanie przez autora całego Kodeksu; a największą może zaletą podręcznika w obecnej szacie jest sposób ujęcia poszczególnych problemów prawnych. Tu zdaje się X. Baron osiągnął, jak dotąd, rekord w jasności, precyzji i gruntowności rozpatrywania poszczególnych zagadnień. To też z przyjemnością polecamy jego książkę każdemu, który się prawem kościelnem interesuje. Ze względu na dotychczasowy brak polskiej monografji o prawie zakonnem, życzyćby należało, żeby ten pierwszy tom, w którym autor aż 100 stron poświęca prawu zakonnemu, znajdował się także w każdym, zwłaszcza żeńskim domu zakonnym. Oczekujemy z niecierpliwością pojawienia się drugiego tomu tego doskonałego podręcznika, który dla jego walorów naukowych śmiało możemy postawić narówni z najlepszemi zagranicznemi podręcznikami prawa kanonicznego.

Chociaż w porównaniu do ogromnych zalet omawianego dzieła znikają drobne jego braki, nie możemy przecież nie zwró-

cić uwagi na niektóre usterki, w nadziei, iż czcigodny redaktor książki, zechce je usunąć w następnem wydaniu, które prawdopodobnie wkrótce okaże się potrzebnem.

Jesteśmy świadomi sporu pomiędzy prawnikami i kanonistami co do podziału prawa na publiczne i prywatne; najmniej jednak uzasadnionem wydaje nam się zdanie tych, za którymi autor w n. 8 różnicę między prawem publicz. i prywat. upatruje w podmiotach prawo ustanawiających. Stosując tę teorję do naszego podmiotu, należałoby konsekwentnie np. normy o ustroju Kościoła przydzielić w części do prawa publicznego, w części do prawa prywatnego, co jest conajmniej wielce niewłaściwe. Jeżeli wogóle, to w szczególności w prawie kanonicznem trudno ścisłą nakreślić granicę między prawem publ. a pryw., zwłaszcza jeśli sobie uprzytomnimy, iż jedną z charakterystycznych cech prawa pryw. w odróżnieniu od publicznego jest to, że, podczas gdy prawo publ. usuwa się z pod dowolności osób prywatnych, prawo pryw. wchodzi w zastosowanie wówczas dopiero, gdy strony inaczej nie postanowiły, chociaż przyznać należy, że i w prawie pryw. mieści się wiele postanowień, które mają moc bezwzględnie obowiązującą, np. w prawie małżeńskiem. — „Arengą“ zwykliśmy nazywać nie początkowe słowa (n. 35) dokumentu, lecz cały jego wstęp, określający okoliczności i motywy, które autora skłoniły do jego sporządzenia. — Na str. 38 przyp. 6 i str. 39 przyp. 3 należało cytować Schulta, D. Kath. K. R. I w odróżnieniu od tegoż autora D. Gesch. der Quellen. — Powszechne zwyczaje nie sprzeciwiające się Kodeksowi autor n. 135 uważa za zniesione. Czyż to prawdopodobne wobec faktu, że ustawodawca pozwala pod pewnemi warunkami na utrzymanie zwyczajów z Kodeksem niezgodnych? (Por. Michiels, Normae Gen. I, 85; mój artykuł w *Przegl. Powsz.* 1918 t. 138/9, 43). — Wyraz „nieletni“, prócz niedojrzałych czyli „impuberes“ (n. 149), obejmuje także dojrzałych czyli „puberes“. — Oddanie łacińskiego słowa *excusare a lege, poena* przez „wymawiać od prawa, kary“ (n. 151, 152, 154, 279 i t. d.) nie odpowiada duchowi języka polskiego; mówimy raczej o powodach usprawiedliwiających niezachowanie prawa, uwalniających od skutków, od kary i t. d. — Co do kwestji spornej, czy niezasięgnięcie rady po myśli kan. 105

n. 1 powoduje nieważność aktu (n. 241), pozwalam sobie zwrócić uwagę na doskonały artykuł znanego kanonisty Boudinhon w Ius Pontif. 1928/29. Autor ten, analizując tak tekst przytoczonego kanonu, jak i wszystkie inne miejsca Kodeksu, w których jest mowa o obowiązku zasięgania rady, nad wszelką zdaje się wątpliwość dowiódł, iż nie było zamiarem ustawodawcy stanowić w kan. 105 generalną regułę o nieważności aktu w razie zaniechania przez Przełożonego obowiązku wysłuchania opinji swej Rady czy Kapituły. — Opat rządzący (n. 258) ważnie nie może święcić osób sobie niepodwładnych, choćby posiadały dymisorjalja swych właściwych Ordynarjuszy (kan. 964 n. 1); zresztą pod koniec tegoż num. sam autor pisze: Kodeks oświadcza się za nieważnością. — Są w Kościele i tacy pustelnicy, którzy należą do jakiegoś zakonu, jak np. u nas w pustelni pod Duklą. Tym oczywiście odmawiać nie można przywilejów stanu duchownego (n. 318). — Na beneficjatów samo prawo (kan. 1475 § 2) wymierza karę za nieodmówienie brewiarza (n. 336). — O pochodzeniu nazwy *personatus* (n. 354) por. Schäfer, Pfarrkirche und Stift, Stutz, Kirchenr. Abhandl. Heft 3, 70. — Powszechnie od Hinschiussa II, 279 przejęte zdanie, iż dopiero od w. XI datuje się dzielenie miast na kilka parafij (n. 613), wymaga pewnej korektury. Hinschius opiera się wyłącznie na źródłach włoskich; w Niemczech natomiast, np. w Kolonji, spotykamy po kilka parafij w jednem mieście już w pierwszej połowie X w. (por. Schäfer, 139). — Również dość rozpowszechnione zdanie zwłaszcza wśród ascetów, iż biskupi powinni znajdować się w stanie doskonałości nabytej (n. 650), pozbawione jest wszelkiego uzasadnienia. — W n. 652 pragnęłoby się znaleźć określenie pojęcia zgromadzeń mniszych. — Podział zakonów żebrzących, podany przez autora w n. 658, uważam za mniej właściwy. Dzisiaj (kan. 621) istnieją zakony z imienia i faktycznie żebrzące, jak Kapucyni, Minoryci, Jezuici i zakony tylko z imienia żebrzące, jak Dominikanie, Augustjanie. — Zgromadzenia zakonne tercjarzy muszą być agregowane do pierwszego (kan. 492 § 1), a nie do trzeciego zakonu regularnego (n. 660); w szczególności Albertyni są agregowani przez Franciszkanów Konwentualnych, Felicjanki przez Kapucynów. — Nietylko (n. 682). ale przedewszyst-

kiem w zakonach laickich powinni Przełożeni starać się, aby dwa razy na miesiąc odbywala się egzorta dla rodziny zakonnej. — Nie wszystkie, lecz tylko męskie zakony na prawie papieskiem obowiązane są mieć w Rzymie prokuratora generalnego (n. 690). — Jurysdykcja Przełożonych w zakonach kleryckich wyjętych jest przedewszystkiem osobową, a nie terytorjalną (por. kan. 501 § 1, 198 § 1); bezpodstawnie więc autor w n. 696 odmawia im oraz delegowanym przez nich kapłanom władzy rozgrzeszania domowników poza domem. — Wyrazowi *collegium* autor niesłusznie daje w n. 727 szersze znaczenie, niż w n. 726. — Sądzę, że *peculium proprie dictum*, czyli niezależne rozporządzenie rzeczami doczesnemi, sprzeciwia się nietylko uroczystemu (n. 765), lecz w równej mierze także prostemu ślubowi ubóstwa. — Autor (n. 772) rozróżnia trzy typy klauzury: papieską, biskupią i stalutową. Pomijając to, że autor nie mówi nam, na czem klauzura statutowa polega, podkreślić należy, że Kodeks zna tylko klauzurę papieską i zwykłą; tamta obowiązuje w zakonach ścisłych (kan. 597), ta natomiast we wszystkich zgromadzeniach zakonnych (kan. 640). Dopiero praktyka pokodeksowa wytworzyła nowy typ klauzury biskupiej. Ile razy bowiem Stolica św. klasztorom mniszek udziela indultu składania profesji prostej zamiast uroczystej (podobny indult uzyskały u nas np. Norbertanki w Krakowie, Benedyktynki w Staniątkach i Przemyślu), nakłada na nie obowiązek zachowania t. zw. klauzury biskupiej, różniącej się od papieskiej tylko tem, że na przekroczenie klauzury potrzebne jest i wystarcza pozwolenie biskupa miejscowego, nielegalne zaś przekroczenie klauzury nie pociąga za sobą kary klątwy z kan. 2342 n. 1, 3.

X. Jan Roth.

NB. Taką opinję bardzo przychylną i równocześnie sumienną i fachową wydał o nowem wydaniu podręcznika X. Bączkowicza O. Jan Roth T. J. w „Przeglądzie Powszechnym“ (wrzesień 1932, str. 325). Powtórzyliśmy ją w całości.